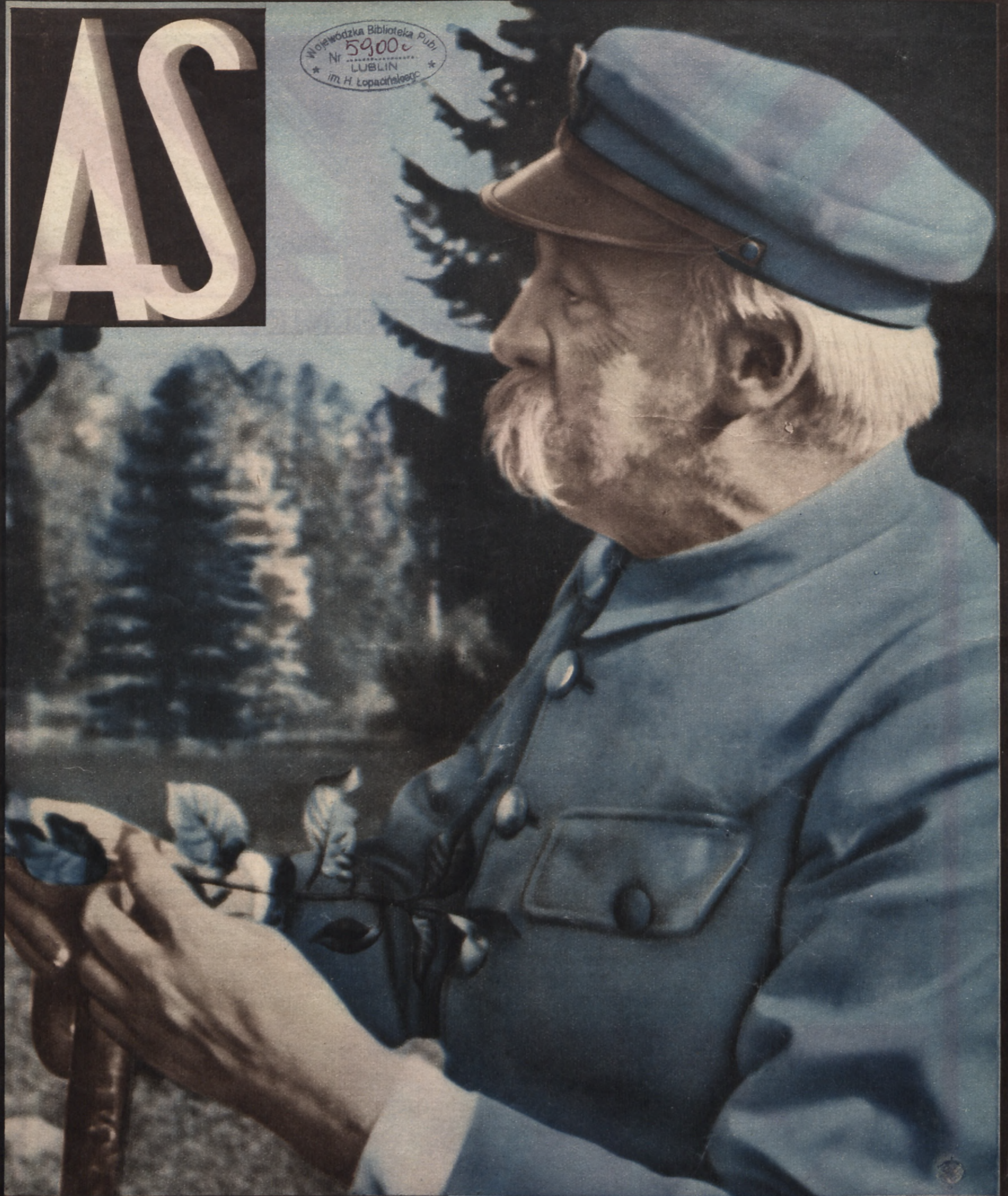


AS

Wojewódzka Biblioteka Publ.
Nr 5900
LUBLIN
im. H. Łopacińskiego



NR. 12.

19 MAJA 1935 ROKU.
CENA 40 GROSZY.

JÓZEF PIŁSUDSKI
PIERWSZY MARSZAŁEK POLSKI I WÓDZ NARODU

* 4 LIPCA 1867 † 12 MAJA 1935



LEGENDA O NACZELNIKU.

Jest taka wydma piaszczysta w Zułowie, taki garb poza dworem, niewielki pagórek, na którym kilka drzew wybiega ku niebu. Piachem i żółtą gliną patrzy brzeg w stronę dworu, a trawą nikłą i badyłami bylin ku niebu. Słońce gładzi ciepłym promieni złoty piach i glinę, a wiatr liczy na drzewach szpilki i z badyłami bylin rozmawia..

To taki mały rezerwat, niewiele metrów kwadratowych mający. To kraj osobliwości, teren dla dziecięcej fantazji i tęsknoty.

Tu drobnymi dłońmi — nad wiek poważny Ziuk — pierwsze sypał okopy, pierwsze dźwigał warownie. Tu, ukryty za garbem, żółtem licem, patrzącym w stronę dworu, z drewnianego karabinu strzelał do niewidocznego wroga, lub krył się za pniami drzew, jak „kryjaki”, którzy na cztery lata przed jego przyjściem na świat, w puszczech litewskich ginęli.

Gdzieś tam w Zułowie żyją jeszcze echa rozmów dziecka z matką, co to z Billewiczów, od Mendoga się wywodzących, była... Jeszcze wyłowi dusza echa wielkich słów, z których posiewu wyrósł potem, jakże wielki — Czyn. Jeszcze wysłuchać można duszą szepty konspiracyjnych rozmów rodzinnych, jeszcze tułają się po zułowskich polach i ogrodach strofy wieszczów, powtarzanych za matką przez Ziuka, jak pacierz...

W Zułowie 4 lipca 1867 roku, wśród pół malowanych zbożem rozmaitem, w dworku o białych ścianach, pierwszy raz odetchnął powietrzem Ojczyzny Ziuk.

W Wilnie zaczyna męczeńską życia drogę. W Wilnie umęczonem, królewskim mieście dojrzewa w Nim wola. W Wilnie pierwsze potyczki z wrogiem wygrywa i uczy się mądrości milczenia.

Potem Charków. Potem gorący wir młodych poczynań, rewolucyjnych dyskusyj, wystąpień i starć. Pierwsze załamanie na szlaku. Relegacja z uniwersytetu.

I znowu Wilno. Miłość Polski łączy się z wiarą żywą, mocniejszą niż życie. Miłość z wiarą stają się proroczym nakazem, stają się mocą światoburczą.

A potem daleki szlak z kajdanami na rę-



Marszałek Piłsudski (na lewo) w wieku dziecięcym, ze swym bratem Janem.

kach i nogach. Jak szli ojcowie... Długa droga za Ural, do Azji.

Rozkrwawili Mu twarz ciosem kolby i nahajem siekli młode ciało. Potem brudne baraki i cuchnąca strawa, potem trud i męka. Rok 1887.

Dwa i pół roku w zimnej celi w Irkucku za kratami. Potem burjacka Tunka i tęsknota — największa z mak tego świata...

Pięć długich jak wieczność lat. Pięć lat niesamowitej męki. Pięć lat w syberyjskich stepach na lasce i nielase dzikiego bezprawia.

Jeszcze tam na Polski męczeńskim szlaku i w dalekim burjackim kraju tułają się wielkie tęsknoty i kryształowe sny o potędze.

...Nie dla międzynarodowych rewolucyj, nie dla cudzej sprawy ma się łać polska krew! Zadużo jej wsiąkło w ziemię od Napoleona. Tak hojnie przelewaliśmy ją na hitewnych polach świata. Walka z przemocą, to nie bój proletariatu z kapitałem, to nie wojna wrogich klas o władzę... To większy bój! Bój Polaków o Polskę! Bój Polski o swą moc, o swój honor, o potęgę!

Wraca do Wilna. O szarej polskiej masie myśli. Myśli o wydarciu jej z rąk obcych agitatorów, o danie tej masie wiary jedynej, wiary w Polskę.

W roku 1892 zaczyna się walka z „szatanem przemocy”. Już jej nie wiedzie mały Ziuk, ale towarzysz „Wiktor”. — Jakże symbolicznym miało stać się to imię. — Coraz częściej w gęstwie bluz robotniczych, w warsztatach i fabrykach mówią o Polsce, coraz częściej na czerwień sztandarów wypływa srebrny, królewski ptak. Powstają bojowe drużyny „Wiktora”.

Jeszcze raz zawisła nad Nim dłoń ciemniejsza. Znowu męka samotnych i czujnych godzin w petersburskiej celi u progu nowego wieku, który miał dać Polskę żywą. Rok 1900.

Potem trud ponad ludzkie siły. Żołnierz i polityk. Wśród huku bomb i trzasku browningów, krzyk: — Niech żyje Niepodległa Polska! — Interwencja w Japonii. Jazdy po Europie. Organizowanie Związku Walki Czynnej, a równocześnie redagowanie, składanie, drukowanie i kolportowanie „Robotnika”.

Na ziemiach polskich powstaje polskie wojsko. Związki i Drużyny Strzeleckie. Organizować trzeba skarb, żołnierskie i oficerskie szkoły, trzeba kłaść fundament pod armję.

Potem już krótkie etapy: — 6 sierpnia 1914 i żołnierski trud. Rok 1417 — Magdeburg. 11 listopada 1918 — Warszawa! — I wreszcie największy czas próby — rok 1920.

Naczelnik Państwa i Zwycięski Wódz Narodul

Potem belwederska samotnia i praca szarego dnia. Potem bitwa nieustanna o Polski moc, o Jej honor i potęgę!

12 maja 1935 roku przestało bić wielkie serce. Przestał żyć Wódz Narodu.

Spoczął między królami...

Ale serce, to wielkie serce położy się u stóp męczynnych w Wilnie i będzie się spowiadało Matce z przeżytych trosk i cierpień, będzie Jej zdawało rachunek z pracy wielkiego żywota...

Serce Marszałka Piłsudskiego.



Przy ulubionym pazjansie podczas pobytu na Maderze.



Marszałek z wiarą kasztanka.



W gronie swych generałów na święcie kawalerji w Krakowie...

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER” S. A.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.

KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.

KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66.

KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

**ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY**

CENA NUMERU GROSZY 40

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamy 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie koloroweoliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 12**Niedziela 19 maja 1935****Rok I**

Kondukt żałobny z szczątkami doczesnymi Marszałka Piłsudskiego w drodze z Belwederu do Katedry św. Jana w Warszawie. Trumnę, okrytą sztandarem państwowym i złożoną na lawecie otaczają oficerowie. Po obydwóch stronach ulicy szpalery wojska i pochodni.

Fot. „As”.

TREŚĆ NUMERU 12-GO:

— LEGENDA O NAOZELNIKU. — Życie i dzieła Józefa Piłsudskiego, Pierwszego Marszałka Polski i Wodza Narodu (str. 3). — JÓZEF PIŁSUDSKI W SZTUCE POLSKIEJ. Portrety i rzeźby (str. 4—5). — O REKORD SZYBKOŚCI NA MORZU. — Technika przyszłości (str. 6). — FORTELE WOJENNE ZWIERZĄT. — Działanie prawy „mimikry” w naturze (str. 8). — ARCHITEKTURA WŁOCH W POLSKIEJ FOTOGRAFJI. — Na marginesie wystawy prac dr. T. Przymkowskiego (str. 12—13). — CZŁOWIEK PISZE SWA HISTORJĘ W KOSMOSIE. — Kiedy wróćdo nas z planet fale radjowe? (str. 14). NA BŁĘDNYM EKRANIE. — Wspomnienia oficera polskiej marynarki handlowej (str. 15). — WOJSKO POLSKIE. — Szeregi, które szły w bój o Wolność naszej Ojczyzny. (str. 16—17). — OD KRZEMIENIA DO HOLLANDA. — Jaką bronią posługiwał się człowiek w ciągu wieków (str. 18). — „ZEGARY WIEŻ NA KRAKOWSKICH KOŚCIOŁACH O ŚWIECIE”. — Wyjatek z „Akropolis” St. Wyspiańskiego na chór. — Muzyka B. W. Wallowskiego (str. 19). — WYWIAD Z GIOGONDA. — Ideal piękna kobiecego w sztuce malarzkiej ub. stuleci (str. 20—22). Życie towarzyskie i artystyczne. — Moda. — Dział gospodarczy. — Nowele. — Powieść.

J. PIŁSUDSKI

w sztuce polskiej.

W programie zajęć współczesnych władców przewidziana jest codziennie godzina przeznaczona dla propagandowych celów a więc dla zdjęć fotograficznych, kinowych, radja i pozowania malarzom i artystom.

Jedynie Marszałek wylamywał się stale z krepujących więzów i nieznosił trzasku aparatów fotograficznych, a zwłaszcza wszelkiego pozowania.

Jak mi wiadomo zaledwie dla kilku artystów polskich zdołało otoczenie Marszałka wyjednać „godzinkę” pozowania.

Godzinka ta nigdy godzinką nie była a dostojny model żadną miarą nie dał narzucić sobie wymaganej pozy, lub stroju.

Takie seansy kończyły się w szybszym tempie, niż było przewidziane, a rozgorączkowany artysta pozostawał z płótnem i wrażeniem arcykrótka doznanej ekspresji.



Zygmunt Grabowski (olejny).



Stanisław Rzecki (bronz).

stawał z płótnem i wrażeniem arcykrótka doznanej ekspresji.

Marszałek nie przywiązywał wielkiej wagi do zadań i celów sztuki, skutkiem czego potomności przekazano nader szczupłą liczbę portretów-dokumentów, które często przemawiają głębiej i jaśniej, niż tomy biografji. Mimo tych faktów, artyści kochali bez wzajemności fascynującą postać Marszałka, która stała się dla ich twórczości magicznym wątkiem różnorodnych plastycznych kompozycji.

Postać Marszałka Polski skupiała w swych charakterystycznych cechach, prototypy rasowego: kresowego szlachcica i rycerza, z rodu tych, których oglądaliśmy oczyma duszy zarówno w trylogji Sienkiewicza, jak i w soplicowym dworku.

Matejko, który potężną wizualną mocą wskrzesił wizerunki królów, stworzył na obrazie, przedstawiającym „Króla Batorego pod Pskowem” w królewskim orszaku, postać rycerza sobowtóra Marszałka.

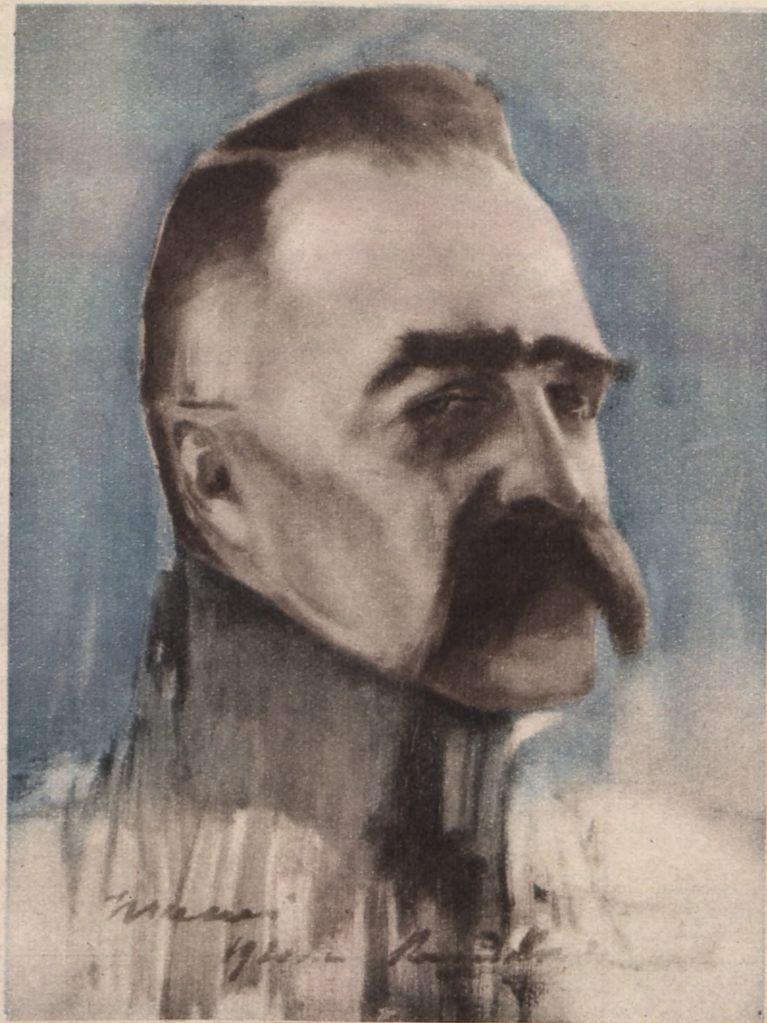
Drugim z krwi i kości powstałym sobowtórem, była postać filozofa Fryderyka Nietzschego, określonego przez niemieckich rasistów, jako idealny sarmacki typ.

Niestety Marszałek nie miał swego Velasquesa, lub Matejki! — Nikt z żyjących artystów, ani żadną soczewką aparatu nie zdołała utrwalić plastycznie tej przedziwnej duchowej mocy, jaka skupiała się w historycznej postaci. Nikt nie przedstawił grozy i wyniosłości postaci, w której duszy zogniskowała się tragedia współczesnej, historycznej epoki.

Żal nasz tem większy, iż w najbliższym gronie Marszałka byli artyści-malarze zdający sobie dokładnie sprawę z znaczenia artystycznego portretu-dokumentu, w rodzaju pozostawionych nam przez ubiegłe epoki.

Urok postaci J. Piłsudskiego pociągał nie tylko wszystkich współczesnych naszych artystów, lecz i patriotyczne rzesze amatorów, które w pocteiwości ducha znosiły do Belwederu wizerunki Wodza, z soli, nieudolnie kładzionych farb, lub naiwnie kopjowanych fotografii.

Historyczną wartość posiadają przedewszystkiem nieliczne z natury pochwycone portretowe szkice. Nie możemy w tem miejscu wymienić nazwisk wszystkich autorów, lecz jedynie kilku najbardziej znanych, jak Kazimierza Młodzianowskiego, Leona Wyczółkowskiego, Jana Gumowskiego, Józefa Świrysz-Ryszkiewicza, Bolesława Kuźmińskiego, Tadeusza Pruszkowskiego, Wincenego Wodzinowskiego, a przedewszystkiem Konrada Krzyżanowskiego, twórcy intymnego portretowego szkicu.



Wielu artystów stworzyło szereg udatnych reprezentacyjnych portretów. Po-przebrać musiny na wymienieniu dzieł prof. Józefa Mehoffera (olej), Wojciecha Kossaka (olej), Kazimierza Sichulskiego (kompozycje symboliczne), Zygm. Grabowskiego (olej), Edwarda Kokoszki (olej), Henryka Jaworskiego (litografja), Bolesł. Kuźmińskiego (rys.). Popiersia wykonali między innymi: Konstanty Laszczka, J. Raszka, Antoni Madejski, Apolinary Głowiński, St. Lewandowski, St. Ostrowski, Olga Niewska, Alfons Karny, Antoni Miszewski i inni. Utalentowani nasi artyści stworzyli szereg portretów reprezentacyjnych o wysokich artystycznych walorach. Zasługi ich tem większe, iż mimo oporności modelu, każdy próbował rozwiązać kompozycje portretu, na swój indywidualny sposób. Pracą dotychczasową stworzono wartościowy podkład do przyszłego syntetycznego ujęcia, w plastycznej formie, wizerunku Tytana polskiego Czynu.

M. Dienstl-Dąbrowa.

Na lewo: Konrad Krzyżanowski (olejny).



W kole: Jan Raszka (medaljon).

U góry: Józef Mehoffer (olejny).

Na prawo: Wojciech Kossak (olejny).



TECHNIKA PRZYSZŁOŚCI.

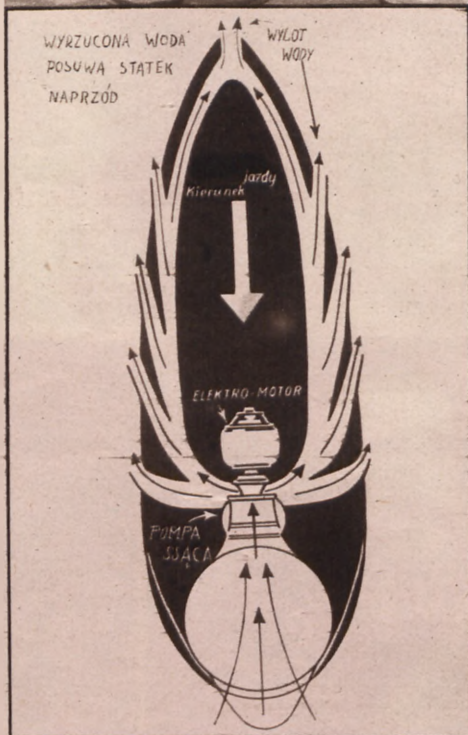
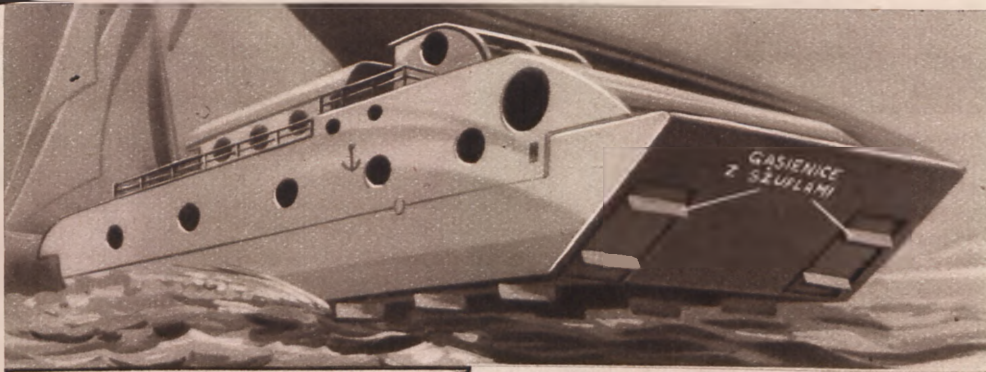
O REKORD

SZYBKOŚCI NA MORZU.

Dobrze i wygodnie odbywa się podróż na nowoczesnych olbrzymach transatlantyki. Koszmar wszystkich szeszurów lądowych inaczej zwany chorobą morską jest już niemal że pokonany. Nowoczesne transatlantyki zaopatrzone w potężne gيروسkopy, prawie że zupełnie usuwają tak przykre wstrząsy, spowodowane kołysaniem się statku. Nie zdajemy sobie jednak sprawy z tego, jakim wielkim kosztem osiągnięto stosunkowo nieznaczne wyniki. Znany okręt włoski „REX”, zużywa dziennie 1.100 tonn oleju, służącego jako materiał napędowy, dla osiągnięcia normalnej szybkości 26 węzłów na godzinę czyli 48 km na godzinę. Przypuśćmy, że z jakiegobądź powodu jakimś miliardero wi, podróżującemu tym okrętem zachciało się, aby szybkość tego statku powiększyć o 3 węzły czyli o 5,5 km na godzinę. Czy wiecie, ile ten kaprys, skądinąd bardzo skromny, kosztowałby? Oto nie mniej niż 20.000 dolarów przy jednej podróży transatlantycznej. Na przyspieszenie szybkości o 3 węzły musiano by bowiem zużyć dalsze 150 tonn paliwa płynnego na każde 24 godzin podróży. Powiększenie szybkości o nieco więcej niż 10 proc. powoduje zatem wzrost wydatków w postaci paliwa o około 40 proc.

A jaka jest tajemnica tej niesłychanie małej wydajności środków napędowych na okrętach? Jest to dość nieubłagane prawo fizyczne o wpływie wzrastającej szybkości na zwiększenie oporu, które najlepiej zrozumiemy na przykładzie. Jeżeli szybkość jakiegoś statku ma wzrosnąć dwukrotnie, to moc jego maszyn musi wzrosnąć ośmiokrotnie. Gdy zaś szybkość chcemy powiększyć 3 razy to moc maszyn musiałaby wzrosnąć 27 razy. Teraz już chyba wszyscy rozumiemy, co jest przyczyną, że nawet najszybsze statki na morzu nie robią więcej, jak około 80 km na godzinę. Osiąga się wprawdzie na motorówkach i ślizgowcach jeszcze o wiele większe szybkości, ale tam właśnie moc motorów jest nieproporcjonalnie wielka do pojemności łodzi. Natomiast na każdym większym statku wzrost szybkości o 1 km kosztuje tyle, że przeważnie zadowolamy się małą szybkością.

Rozumiemy teraz dążenia wynalazców do obejścia w jakibądź sposób tego prawa fizycznego. Jedni robią to przez zmianę kształtu okrętu i nadanie mu takich linii, aby woda stawiała mu jaknajmniejszy opór. Pod tym względem nowoczesne statki wykazują wyraźną tendencję do przybrania kształtu podobnego do ryby. Ta rybna figura zdaje się najbardziej odpowiadać żywiołowi wodnemu. Inni jednak usiłują dobić do celu przez zmianę sposobu działania środka napędowego. Przypominacie sobie zapewne wszyscy, jak wyglądają nasze dzielne statki rzeczne. Z jakim hukiem i rozmachem rozpryskują pianę koła łopatkowe parowców rzecznych. Otóż jeden z wynalazców pragnąłby zbudować ekspres wodny, który po obu stronach miałby takie łańcuchy z łopatkami. Tych łopatek byłoby bardzo dużo, wskutek tego także i szybkość osiągnięta, mogłaby być znaczna. Tak przynajmniej rozumuje ów wynalazca. Wątpimy jednak czy taki czółg wodny byłby bardzo przydatny w podróży po oceanie. Może już prędzej



Model okrętu (na prawo) o niezwykle kształtach, poruszającego się z pomocą obrzucanej pompy (schemat powyżej), która wciągając wodę przez otwór na przodzie statku i wyrzucając ją bocznymi kanałami powoduje ruch okrętu.

na wodach płytkich, którą są właściwą domeną statków o małym zanurzeniu, poruszanych kołami łopatkowymi.

Dla statków morskich zdaje się jednak, że najpraktyczniejszy jest napęd śrubowy. Oto gdybyśmy umieścili śrubę lub też rodzaj turbokompresora w środku statku, rezultat powinien być jednak bardzo interesujący. Przez otwory, znajdujące się na przodzie statku wpływałaby woda do tejże turbinki, która

Model statku-ślizgowca, zaopatrzonego w gąsienice z szuflami, które poruszają okręt z wielką szybkością.

działa w tym wypadku jakgdyby pompa ssąca. Ta sama turbinka wyrzuca z wielką szybkością wodę do tyłu przez odpowiednie kanały. Jakież tego rezultat? Woda odrzucona do tyłu popycha statek silnie ku przodowi. Czy nie przypomina to rakiety? Właśnie, że tak. Ma to być zatem rakietą wodną. Pomysł ten nie jest zgoła fantastyczny. Wypróbowany został już we Włoszech i w Niemczech. We Włoszech zbudowano niedawno pierwszy nowoczesny statek morski bez napędu śrubowego. Według orzeczenia komisji kontrolnej statek ten posiada o wiele większą wydajność motoru, aniżeli przy napędzie śrubowym. Ten sam pomysł zastosował inżynier Kort w Niemczech do napędu statków na wodach śródlądowych. Oryginalnie wygląda taki statek. Z daleka przypomina bardzo potwora morskiego, jakie czasami znajdują się w znacznych głębinach morskich. Inż. A.





Oto jak sobie wyobrażano w XVII-tym wieku znaczenie „szóstego mocarstwa” personifikowanego przez kobietę, odbierającą najważniejsze wiadomości.

JAK POWSTAŁA PIERWSZA FRANCUSKA GAZETA?

Tysiące, dziesiątki tysięcy, a może i miliony dzienników, tygodników, gazet wszelkiego rozmiaru, wszelkich cen, wszelkiego gatunku rodzi się dzień w dzień na świecie. Strugi drukarskiego czernidła opuszczają raz wraz fabryczne magazyny, by czernić długie szpalty bezlicznych gazet.

A jednak, a jednak... Uwierzyć w to trudno, że dopiero w roku 1631, że trzydziestu lat temu ujrzała światło dzienne pierwsza gazeta francuska. Pomysł jej powstał przypadkiem: zresztą tak, jak wszystkie dobre i wielkie pomysły.

Zył sobie wtedy w Paryżu pan Theophraste Renaudot. Przywędrował tu z Louden. Był niezawodnie człowiekiem sprytnym i przedsiębiorczym. I był dyrektorem wielkiego „biura adresowego”. Jego domu nie był w stanie ominąć nikt, kto chciał o swoim bliźnim zasięgnąć języka. Wiec biegli do niego wszyscy: szlachta, wojskowi, kupcy, mieszczanie. Ale pan Renaudot był nie tylko zdolnym przedsiębiorcą, ale i nader towarzysko usposobionym człowiekiem. Dowiadywał się o tem i o owem. A że nietylko był ciekawym, ale i rozmownym, przeto otrzymane wieści chętnie udzielał innym.

Aż razu pewnego wyrozumował tak: skoro ludzie tak bardzo łakną moich wiadomości, czyżby nie było korzystniejszym, by mi za te wiadomości płacili? Powstał — krótko mówiąc — pomysł wydawania gazety. W „króciutkich” bo ośmiodniowych odstępach czasu poczęła się ukazywać ta pierwsza francuska gazeta „olbrzymiego” — jak na owe czasy — formatu: pół arkusza in quarto.

Znaczenie zdobyła sobie szybko. Zrozumiał je mądry Richelieu. Raz po raz zwracał się do pana Renaudota o „wytwarzanie nastrojów” lub „urabianie opinji”. Słychać, że pan Renaudot niezawsze bywał uległy życzeniom wszechwładnego ministra. Czuł już wtenczas swą potęgę... jednym z numerów swej gazety napisał wyraźnie: „Na tem miejscu prosimy książęta i państwa zagraniczne, aby nie bronily przystępu naszym wiadomościom. Nowina jest takim towarem, bez którego nie może obejść się handel. Jest ona niby wezbrana rzeką, która tem bardziej wzbiera, im większe się jej stawia przeszkody.

W pierwszym numerze swej gazety umieścił pan Renaudot nader charakterystyczną rycinę: na wzniesieniu siedzi niewiasta — personifikacja prasy. Konni i piesi, ludzie w rycerskich strojach i wieśniaczych kozuchach znoszą jej wiadomości. Po drugiej jej stronie wiadomości te idą „pod prasę”, skrzętnie spisywane przez jakiegoś czcigodnego męża.

Tak bywało właściwie naprawdę! Bo w najśmielszych nawet snach nie



Prymitywna drukarnia, w której układano z wielkim trudem pierwszą gazetę.

przywidział się panu Renaudotowi na-
tembardziej „skromno” radjo, ani telegraf, ani telefon, ani

Gd.



Zbliża się okres urlopowy
Czy masz już książeczkę
oszczędnościową P. K. O.



KAŻDY URZĄD POCZTOWY JEST ZBIORNICĄ P. K. O.



Jedna z afrykańskich odmian motyla o kolorowych oczach na skrzydłach. robi niesamowite i tajemnicze wrażenie.

ten sposób skuteczną obronę przed nieprzyjaciółmi.

Jednym z najbardziej ciekawych sposobów walki obronnej jest zjawisko „hypnotyzowania” swego nieprzyjaciela przez niektóre motyle. Posiadają one na skrzydłach swych osobliwe rysunki oczu, które w chwili, gdy motyl porusza skrzydłami, zdają się grozić nacierającemu napastnikowi. Prześladowca pod wpływem „spojrzenia tych oczu” na chwilę zostaje unieruchomiony i jakby zahypnotyzowany. A tymczasem motyl, korzystając z prerażenia swego wroga, trwającego choćby kilka tylko sekund, rozwija swe skrzydła i ulatuje w bezpieczne miejsce.

Motyle takich nie brak i wśród naszych ciem pawików, które często ratują się w ten sposób przed napaścią ptaków. Robione doświadczenia z tymi „hypnotyzerami” i ptakami, żywiącymi się owadami, dawały często w rezultacie zjawisko silnego przerażenia u ptaka i niechęć zbliżenia się do właściciela tajemniczych i zdających się grozić oczu. Bujny świat podzwrotnikowy posiada niemało przedstawicieli tych motyli, których groźny rysunek potęgowany jest niejednokrotnie fantastycznym i niesamym nieraz zestawieniem barw.

Dr Z. Maślankiewicz.

FORTELE WOJENNE ZWIERZĄT

Przyroda hojnie obdarzyła zwierzęta rozmaitymi właściwościami, które pozwalają im ratować życie w chwili groźącego niebezpieczeństwa. Broń jednych stanowią zęby, pazury, kolce lub dzioby, inne posiadają groźne i niebezpieczne nieraz żądła, nie brak nawet i takich, które — jak niektóre ryby — energią elektryczną bronią się skutecznie przed swymi prześladowcami. Zwierzęta bezbronne, jak zające, antylopy, żyrafy czy strusie ratują się ucieczką, korzystając z chyżości swych nóg, inne wlatują na skrzydłach w przestworza. Niektóre ze zwierząt mają zdolność naśladowania swym wyglądem różnych, otaczających je przedmiotów, jak liści, owoców, kwiatów, kamyków, kory drzew tak, że trudno je bardzo zauważyć — inne wkońcu posiadają barwę ochronną, która sprawia, że dane zwierzęta na tle środowiska, w którym się znajdują, stają się niewidoczne.

Jakże trudno zauważyć zieloną żabkę drzewną, siedzącą na liściu lub zieloną gasienicę czy pasikonika wśród zieleni traw. Zające, kuropatwa, przepiórka czy skowronek szarą barwą swego ciała nie wiele odróżniają się od podłoża, zwłaszcza szarej roli. Cmy i niektóre chrząszcze są ludzko podobne do kory drzew, na których chętnie przebywają. W okolicach podbiegunowych pokrytych wieczną szatą śnieżną i lodami niedźwiedź biały, lis polarny i sowa upodabniają się do tła. Zwierzęta pustynne chroni przed niebezpieczeństwami ochronna barwa zbliżona do piasku.

Niektóre zwierzęta mają nawet możliwość zmiany ubarwienia w zależności od pory roku, jak gronostaj czy parwa, które swe letnie ubarwienie zmieniają w zimie na białe. Są i takie, które do pewnego stopnia mogą zmieniać ton i intensywność zabarwienia swego ciała zależnie od rodzaju podło-

ża, jak wspomniana już żyjąca u nas zielona żabka drzewna, czy przedewszystkiem kamelen, którego zdolność zmiany zabarwienia stała się przysłowiową.

Wiele owadów posiada zdolność przystosowania się do otoczenia kształtem swego ciała, niektóre gasienice do złudzenia przypominają suche gałązki, podobnie egzotyczne szarańczaki zwane patyczakami, trzymane nieraz u nas w hodowlach szkolnych — inne przypo-

Na prawo: Pawik ze złożonymi skrzydłami przypomina głowę niebezpiecznego gada.



minają kształtem swego ciała liście itd.

Niektóre zwierzęta posiadają odstraszającą barwę ciała, której z powodzeniem używają do obrony przeciw napastnikom. Wystarczy wymienić naszą salamandrę z ognisto-żółtymi plamami wybitnie odbijającymi od czarnego tła jej skóry, czy żabę kumaka, który w chwili, gdy nieprzyjaciel się zbliża, odwraca się nagle brzuchem do góry, strasząc atakujące zwierzę jaskrawym zabarwieniem skóry brzucha.

Na prawo: Ochronę jednego z gatunków motyli amerykańskich stanowią zagadkowe rysunki na jego skrzydłach.



Słynny śmierzdel amazoński doskonale potrafi obronić się przed każdym napastnikiem wydzieleniem woni niezmiernie przykryj i przenikliwej, w podobny sposób bronią się liczne gatunki pluskiew, wiele owadów wydziela w chwili napaści ostrą i gryzącą ciecz, która odbiera apetyt i ochotę do konsumpcji napastnikowi.

Do groźnych przez swe żądła os upodabniają się swym wyglądem niewinne owady z innych grup, znajdując w

Na prawo: Skrzydła tego znów motyla posiadają nadwyraz piękny i delikatny rysunek.



CZTERY

DOŚWIADCZENIA MR. ARMSTRONGA.

Mimo najlepszych potraw, jakie podawano do stołu i najwytworniejszych win atmosfera przyjęcia była nieco napięta. Było rzeczą jasną, że jedyną osobą, która naprawdę umiała ocenić zmieniające się ciągle potrawy był Sinclair Armstrong, który otoczony swymi gośćmi siedział na pierwszym miejscu przy stole. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że pan we fraku, siedzący po jego prawej stronie był artystą. Karta ze sztywnego brystolu, stojąca przed nim w srebrnej łapce nosiła nazwisko Charles Dixon. Po każdym daniu Dixon odsuwał niecierpliwie talerz. Gest ten znamionował człowieka, który nie umiał się cieszyć jedzeniem, i który wiedział z góry, że deser będzie mniej miły.

Twarz sąsiada jego opalona od słońca miała wyraz bardzo obojętny. Ryszard Devlin miał zaledwie dwadzieścia pięć lat. Zachowanie jego jednak znamionowało, że pierwszorzędną kolacja, podczas której podawano świetne potrawy, na drogocennej porcelanie, przy świetle świec i z milionerem jako gospodarzem, było to rzeczy dla niego zupełnie codzienne.

Dwaj pozostali goście robili wrażenie nieco bardziej zadowolonych. John Sayer nie zdawał sobie zupełnie sprawy z faktu, że miał na sobie ubranie, jakie się kupuje gotowe w drugorzędnych magazynach. Był może nieco mało pewny siebie, ale miano to zapatrywał się na ten fakt zupełnie spokojnie. Neville Cradock, który siedział koło niego miał wyraz człowieka zadowolonego. Mimo to jednak obserwacji Sinclaira Armstronga nie uszły nerwowe jego ruchy, które wskazywały na pewien niepokój.

On sam był podobny do wszystkiego innego, tylko nie do milionera. Na pierwszy rzut oka byłoby się go wzięło za oxfordzkiego studenta, po bliższym jednak przyjrzeniu, natrafiało się na nieco twardy wyraz jego oczu.

Kolacja dobiegała końca. Służący przyniósł likier, kawę i cygara, poczem oddalił się, zamykając cicho za sobą drzwi. Zapłonęły zapalki, zapalając cztery cygara.

Wkrótce stół spowity był w niebieskawych obłokach dymu. Goście patrzyli pełni oczekiwania na swego amfitrjona. Sinclair Armstrong wy-

godnie oparł się w krzesło i odłożył cygaro.

— Tak, proszę panów, jesteśmy teraz sami. Chcę panów poprosić o wypowiedzenie swego zdania. Eksperyment, który zrobiłem kosztował mnie dużo pieniędzy i był nieco długi, ale pieniądze nie robią mi przyjemności, chyba, że je używam w ten sposób. Mam nadzieję, że jeszcze przed końcem dzisiejszego wieczoru odniosę wrażenie, że dobrze ich użyłem.

Zrobił okólny ruch ręką i przyglądał się badawczo swym gościom.

Charles Dixon otworzył usta, jakgdyby chciał coś powiedzieć, zamknął je jednak wkrótce nie powiedziawszy ani słowa.

— Dwa lata są długim przeciagiem czasu. Mimo to jednak, jestem przekonany, że panowie nie zapomnieli tego szczęśliwego zbiegu okoliczności, który nas zgromadził w oddziale I. klasy w Scotland Expressie. Pan, panie Dixon i Cradock byliście zatopieni w rozmowie o stosunku pieniędzy do szczęścia. W rozmowie tej i my braliśmy udział we trzech. Ja wyrażałem mniejszość, gdyż byłem zdania, że nie pieniądze stanowią o szczęściu, lecz sposób, jak się je wydaje. W dalszym ciągu twierdziłem, że człowiek mimo stałych i wystarczających dochodów nie jest szczęśliwy.

Wszyscy obecni kiwnęli głowami potakująco.

— Nie wszyscy jednak panowie zgadzali się ze mną. Oświadczyłem, że jestem tylko laikiem w kwestjach psychologii. Twierdziłem też, że jest jej wada, iż nie opiera się na dokładnych przykładach. Zaproponowałem wtedy panom, aby każdemu z was płacić 5.000 funtów szterlingów na przeciag dwóch lat. Mam nadzieję, że panowie otrzymywali punktualnie dane kwoty?

Armstrong przerwał swoje przemówienie, goście zaś zrobili ruch potakujący.

— Świetnie — ciągnął dalej Armstrong. — Byli panowie pewno wtedy zdania, że jestem jakimś zwarjowanym bogaczem. Miałem pewne trudności w przekonaniu panów, że tak nie jest i że zupełnie poważnie myślę o eksperymencie. Otóż ja z mej strony myślałem o eksperymencie. Muszę teraz panów prosić, abyście to samo uczynili i z waszej strony. Przy-

SIDNEY • DENHAM

N O W E L A

Ilustrował: ALFRED ŻMUDA.

pominają sobie panowie zapewne, że zostawiłem panom swobodę wydawania pieniędzy, w poszukiwaniu za szczęściem. Chciałbym się teraz dowiedzieć, co panowie uczynili przez ten czas i czy jesteście szczęśliwi?

Twarz Armstronga rozjaśniła się w oczekiwaniu relacji. Przyglądał się każdemu z obecnych. W końcu powiedział:

— Wybacz panowie, jeżeli poproszę, abyście mi powiedzieli prawdę bezwzględną. Wnioski moje zależą od waszych relacji.

Wypił łyk brandy i zwrócił się do swego sąsiada po prawej stronie.

— Pan, panie Dixon będzie miał pierwszeństwo w opowiadaniu, jako mój sąsiad po prawicy. O ile sobie przypominam, to twierdził pan przed dwoma laty, że potrzebuje pan jedynie kilka tysięcy funtów szterlingów, aby namalować arcydzieło.

Armstrong wyjął z kieszeni notatnik i ołówek i napisał w nim kilka słów. Rumieniec pokrył twarz Dixona. Od jakichś 30 sekund starał się on poważnie zastanowić i zgłębić. Pociągnął dym z cygara i zaczął mówić:

— Wygrał pan, panie Armstrong — rzekł krótko. Nie jestem obecnie bynajmniej najlepszym artystą, jak poprzednio, ani też nie zbliżyłem się do sukcesu. Nie jestem też szczęśliwszy.

— Umie ocenić pańską prawdziwość — odparł Armstrong ciepło. — Czy nie zechciałby pan opowiedzieć tego obszerniej?

Rozglądał się po obecnych. Devlin miał jeszcze ciągle znużoną minę, Sayer patrzył się na swój talerz, a mina jego zdradzała myśl, którąby można było przetłumaczyć słowami: biedny warjacie!

— Zdawało mi się, że pieniądze umożliwią mi zetknięcie się z wpływowymi osobistościami, myślałem, że uwolni ono mnie od drobnych codziennych trosk, pozwoli oddać się najzu-

pełniej sztuce. Zdawało mi się, że będę mógł malować krzywe uliczki sycylijskie tak, jak je miałem we wspomnieniu z czasów mej podróży poślubnej.

Nastąpiła dramatyczna pauza. Gdyby nie był on wybrał malarstwa, jako swego zawodu, byłby z niego wspaniały aktor.

— Omyliłem się. Powróciłem do miasta, zaprosiłem szereg wpływowych osobistości, ale miasto straciło jakgdyby swój powab. Ludzie wpływowi nie przyjęli zaproszenia, natomiast zjawilo się naokoło mnie bardzo wielu darmozjadów. Przez cały rok ludziem się nadzieją, że jednak przyjdzie odpowiedni nastrój. Powróciwszy do Anglii rozeszła się wśród kupców obrazami wiadomość, że jestem bogatym człowiekiem i zaczęli mnie uważać za dyletanta i amatora. Chwalono bardzo moje prace, ale nie kupowano ich.

O ile spoeczątku Dixon mówił tonem urywanym, o tyle później słowa jego płynęły nieprzerwanym tokiem.

— Przyzwyczailem się, że obsługiwano mnie ze wszystkich stron. Ja sam już wogóle nic nie robiłem. W przeciągu sześciu miesięcy nie wykończyłem ani jednego obrazu. Doszedłem teraz do tego stanu, że chciałbym powrócić do pracy. To też sprzedałem wszystko, rozpuściłem moją służbę i zamknąłem mój duży dom. Cieszę się naprawdę na jutrzejszy dzień, w któ-

rym skończy się pański eksperyment. Wtedy to będę naprawdę na siłach stać się tym, którym byłem przed poznaniem pana. Nie będę malował tylko dla zarobku, ale dla samej sztuki. Jeżeli będę zarabiał tem lepiej, jeżeli jednak nie, to się obejdzie.

— Dziękuję panu, panie Dixon. Zuzyl pan moje pieniądze wcale dobrze.

Armstrong zapisał sobie coś w notatniku. Cofnął nieco swoje krzesło, jakgdyby chciał lepiej przyjrzeć się obecnym i zapytał:

— Panie Sayer, co pan ma do powiedzenia?

Sayer zwilzył nieco usta i robił wrażenie, jakgdyby szukał słów. Był on urzędnikiem w kancelarji adwokackiej i swoją obecność w pierwszej klasie owego wieczoru zawdzięczał jedynie przypadkowi. Miał bowiem przewieźć ważne dokumenty, to też jego mocodawcy uważali ten sposób przesłania dokumentów za najlepszy.

— Nie mam panu nic specjalnie ciekawego do zakomunikowania — rzekł wkońcu, odkładając swoją serwetkę. — Przypuszczam, że będzie się pan śmiać, skoro pan usłyszysz moją historję.

Wszyscy uśmiechnęli się, gdyż byli naprawdę ciekawi, co ten mały, dosyć pospolity człowiek, z siwiejącemi skroniami mógł uczynić z pieniędzmi.

— Przechulał pan pieniądze w Monte Carlo? — zauważył Devlin.

— Raczejbym przypuszczał, że jakaś

damulka pana ich pozbawiła — zaśmiał się Craddock.

— Może byloby najlepiej, gdybyśmy pozwolili panu Sayerowi opowiedzieć jego historję? — zauważył Armstrong.

— Oddawszy dokumenty, które wiozłem ze sobą, spędziłem następną noc w hotelu — rozpoczął swe opowiadanie Sayer. Gdy powróciłem następnego dnia do domu, zastałem pański czek. Moja żona była obecna przy otwieraniu koperty. Mówiąc szczerze aż do tej chwili byłem przekonany, że pan nas chciał wystrychnąć na dudka, gdy pan kazał sobie podać nasze adresy. Przy otwieraniu koperty wyleciał czek, opiewający na 1.250 funtów, czyli na większą sumę, niż zarobiłem w ostatnich dziewięciu latach. Opowiedziałem żonie całe zajście w wagonie.

Wszyscy obecni roześmiali się przy tych słowach, tylko Armstrong zachował zupełny spokój.

— Zapewniłem ją, że nie pożyczylem panu ani grosza, ani też, że nie może to być z pańskiej strony złym żartem. Poszliśmy oboje do banku. Otrzymawszy pieniądze złożyliśmy je w kasie oszczędności.

— No i?

— Oto i wszystko, panie Armstrong. Pieniądze jeszcze mam ze wszystkiemi procentami, które narosły. Moja żona orzekła, że nie można tego kapitału ruszać, gdyż i tak z tego nie dobrego nie może powstać. Z tego też powodu pracowaliśmy ciężko dalej. Moja żona oczekuje teraz odemnie wyjaśnienia, co pan z temi pieniędzmi zamierza dalej robić.

— Chyba dosyć wyraźnie panu powiedziałem, że pieniądze do pana należą i że może pan z nimi robić co panu się podoba, — uważam jednak, że lepiejby było tak, jak pan tę sprawę poprowadził, niż żeby pan pieniądze te przegrał w Monte Carlo. Czyż nie miał pan pokusy wydania ich?

Sayer spuścił oczy.

— Z początku, proszę pana, miałem rzeczywiście pokusy. Najprzód jak potrzebowałem nowej maszyny do cięcia trawy, a następnie gdy synek mój opuścił szkołę, nastęrczyla się wydatki. Lecz żona moja twierdziła, że stara maszyna jest jeszcze dosyć dobra, a dla synka naszego będzie lepiej, jeżeli postara się o stypendjum szkolne, gdyż — jak twierdziła — będzie to bodźcem do dalszej pracy.

— Zdaje się, że pan ma mądrą żonę i należy panu powinszować z tego powodu, a co do pieniędzy, nie mogę ich oczywiście wziąć sprowotem.

— Niech pan pozwoli, że ja je dla pana ulokuję w banku — zauważył Craddock. Za trzy tygodnie oddam je panu podwojone.

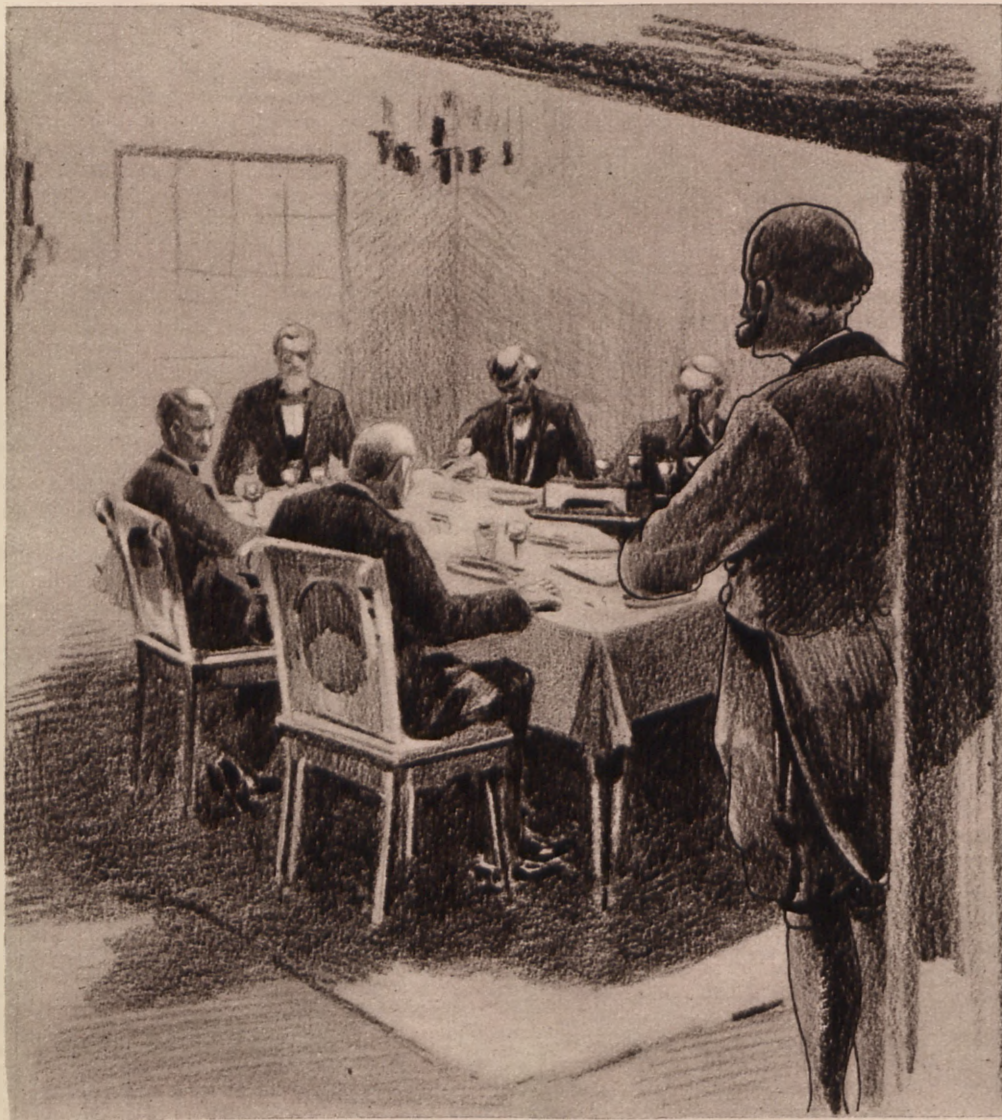
Armstrong, ignorując powiedzenie Craddocka, zauważył.

— A co z panem, panie Devlin słychać?

Devlin milezał przez chwile. — Nie się u mnie nic zmieniło, proszę pana — zamruczał. Wydałem wszystko co do ostatniego grosza i obecnie mam znowu dosyć duże długi. Miałem je zresztą i przedtem.

— Czy pan miał długi dwa lata temu?

— Oczywiście. Zwykle długi — krawice i tym podobne. Przejechałem się dwa razy naokoło świata, lecz stwierdziłem, że niema wielkiej różnicy między Honolulu a Hounslow. Natura ludzka wszędzie jest jednakowa.



Kolacja dobiegala końca...

— I nie robił pan żadnych interesów, nie pan nie pracował?

— Interesy? Ależ owszem bez końca. O godzinie 8.35 zdołałem złapać pociąg, o 11-tej poszedłem do kawiarni, prowadziłem długie, nudne rozmowy przy lunchu, następnego dnia przespaliśmy aż do herbaty, o godzinie 5.45 znów złapałem pociąg, aby pojechać do domu. Wychodzi jednak na to samo, czy się jeździ lub nie, i chodzi tylko o to, aby coś o danej porze robić!

— Trudno pana zadowolić, panie Devlin. Czy panu pieniądze na nie się nie przydały?

— Przykro to powiedzieć, ale pan chce przecież wiedzieć prawdę. Raz lub dwa razy zapłaciłem mego krawca, w każdym razie pieniądze pańskie przeszły do innych rąk. Nie zmienia to postaci rzeczy. Jutro wyjeżdżam.

— Pan wyjeżdża? — zapytał się Armstrong z zainteresowaniem.

— Kupiłem sobie jakąś wannę, czy coś w tym rodzaju i zamierzam na tym wehikule pojechać do Południowej Ameryki, jedynie w towarzystwie mojej żony. Ożeniłem się w przeszłym tygodniu. Moja żona jest zdania, że będzie wcale wesoło na okręcie.

Armstrong zamyślił się na chwilę. — Nie wiem, czy pan dobrze swoje pieniądze zużył — rzekł, uśmiechając się. Boję się, że pan nie dotrze do Południowej Ameryki. Byłoby mi przykro, gdyby pan miał stracić swoją dzielną żonę, z którą się pan ożenił.

— O, dla Cecylji to jest tylko sport! Twierdzi ona, że lepiej dać się zjeść rekinom w morzu, jak rekinom hotelowym.

Wszyscy roześmiali się głośno, słysząc te słowa. Armstrong zwrócił się do Cradoeka.

— Jest pan ostatni, panie Cradock, — rzekł, robiąc zapraszający gest ręką. Cradock odłożył cygaro i zaczął mówić.

— Co do mnie, to wcale ładnie popracowałem temi pieniędzmi. Zdołałem je potroić, czterdzieści tysięcy funtów szterlingów, a jeżeli ten interes, który obecnie rozpocząłem dojdzie do skutku, będę mógł wypisać czek na 250 tysięcy funtów.

— Ale ja się nie pytałem o pieniądze, ale o szczęście, drogi panie.

— Jestem zupełnie zadowolony. Pieniądze nigdy nie są balastem. Tylko warjaci tak twierdzą. Ja uniem obchodzić się z pieniędzmi i tylko brak kapitału przeszkadzał mi w operacjach.

— Bardzo mądre z pańskiej strony. A pańskie osobiste sprawy? Słyszałem, że żona pańska... Armstrong urwał nagle. Cradock zmienił się na twarzy.

— Czy pan myśli o tej sprawie z przeszłego miesiąca? Czyniłem wszelkie możliwe starania, aby się to nie dostało do gazet. Ale kobiety są poprostu komiczne. Kobieta, która protestuje przeciwko temu, że się ma kilka przyjaciółek nie jest godna, aby ją przy sobie trzymać.

— Zdaje się, że pan jakąś kobietę oślął swymi pieniędzmi i zawiózł ją do Południowej Francji... Ale czy był pan zupełnie szczęśliwy?

— Ach, była poprostu mała, głupią warjatka. Mogła całą sprawę załatwić jednym małym kłamstwem. Z moimi pieniędzmi mogę dostać wiele takich kobiet.

— Czy myślał pan o szczęściu tej bezimiennnej pani A? — Armstrong podkreślał każde słowo. — Czy myślał pan o jej mężu?

— Przecie mówiliśmy o mojem szczęściu, a nie o czyjś innym! — wykrzyknął Cradock zdenerwowany. Nie rozumiem wogóle dlaczego pan tę sprawę miesza do naszej rozmowy?

— Szukam prawdy, panie Cradock. Mówił pan, że pan jest zupełnie szczęśliwy. Może pan niezna prawdziwego nazwiska pańskiej bogdanki tej pani A?

Wszyscy obecni patrzyli się na Cradoeka, inaczej byliby zauważyli straszny wyraz twarzy Armstronga. Oczy jego rzuciły błyskawice, ostra jego broda jeszcze bardziej się wydłużyła.

Cradock potrząsnął głową, i nieco zbladł.

— Nazywałem ją tylko... kotką!

— Tą kobietą, panie Cradock, była pani Armstrong, moja żona. — Głos Armstronga brzmiał lodowato. Pan twierdził przed nią, że pan jest kawalerem, wmawiał pan w nią, że mąż ją zaniedbuje. Posyłał pan jej kwiaty w mojej nieobecności. — Armstrong pochylił się nieco naprzód, Cradock zgasił swoje cygaro. — Teraz panu wszystko wyplacę, panie Cradock. — Głos Armstronga stał się groźnym, jak gdyby był sędzią, który ogłasza wyrok.

— Mnie wyplacić?

— Nie jak dotąd panu płaciłem, lecz w pańskiej brudnej monecie. Pańskie czterdzieści tysięcy funtów mają służyć do podbicia w kursie akcyj Południowego Morza? Ale przecież każdy grosz tej sumy...

Cradock naraz zamilkł i stał się poprostu szary na twarzy.

— Wiem, że tak jest, panie Cradock. Przypuszcza pan, że akcje z tego powodu podskoczą naraz w górę? Owszem, pójdą w górę. Ale nie przed chwilą zanim z pana nie zrobię żebra. Z łatwością mogę kupić ten pakiet akcyj, a akcje będą upadać tak długo, aż pan zupełnie nie wyczerpie swych kapitałów.

Nastąpiła chwila śmiertelnej ciszy. Cradock siedział w swym fotelu, jak gdyby się zalał w sobie i patrzył przed siebie błędnym wzrokiem. Armstrong pociągnął dym ze swego cygara i odłożył je potem spokojnie na popielnicze. Sayer i Dixon przypatrywali się całej scenie z napięciem. Wkońcu gospodarz odsunął swoje krzesło.

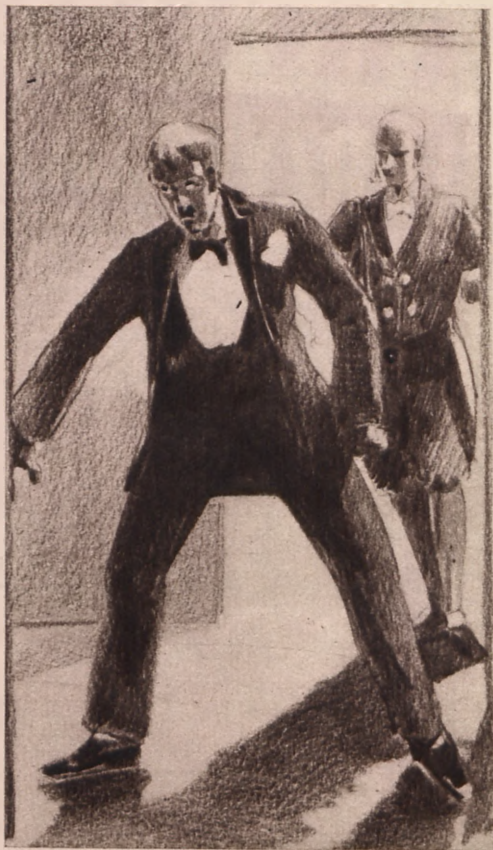
— Bardzo miły wieczór, moi panowie. Pozostaje wprowadzić kilka szczegółów do załatwienia, ale mogą one poczekać. — Wszyscy wstali za wyjątkiem Cradoeka. Nie zwracano na niego uwagi, aż do chwili, kiedy wstał gwałtownie z krzesła i uderzając pięścią w stół, krzyknął:

— Niema pan prawa tego uczynić, panio Armstrong. Przecie nie wiedziałem, że to jest pańska żona. Chce pan naprawdę rzucić na rynek? — Oczy jego nabiegły krwią. — Dla pana to jest fraszka, jest pan bogatym człowiekiem. — Głos jego brzmiał płaczliwie, ale nie znajdował współczucia u obecnych. — To jest świństwo! — krzyknął nakoniec Cradock i urwał.

— Zdaje się, że pan chce już iść, panie Cradock — rzekł Armstrong, zadzwonił na służącego i rzekł do niego skoro wszedł:

— Pan Cradock życzy sobie wyjść.

Cradock wyszedł, zataczając się. — Dziś wieczorem jeszcze był bogaty, w przyszłym tygodniu będzie zrujnowany, jeżeli nic nie zajdzie nowego — myślał.



Cradock wyszedł zataczając się...

Po wyjściu Cradoeka, Armstrong zwrócił się do swych gości:

— Proszę może panowie jeszcze się napiją szklaneczkę, przyda się wam to. Obecni napelnili szklanki i wypili stojąc. Dixon przerwał milezienie.

— Przypuszczam, że należałoby panu teraz podziękować — rozpoczął.

— Ach, głupstwo, panie Dixon — przerwał mu Armstrong. Zamierzałem zrobić eksperyment psychologiczny, a panowie mi w tem pomogli. Gdybym jednak wiedział, że pieniądze będą zużyte w ten sposób... — zrobił ruch ręką w stronę drzwi, za którymi znikł Cradock.

— Sprawa rzeczywiście bardzo przykra. Czytałem o tem w pismach — wtrącił Dixon, ale nie miałem pojęcia, że pani Armstrong...

— Moja żona? — Twarz Armstronga przybrała jakiś śmiejący się grymas. — Czy pan też się dał nabrać? Drogi panie, jestem zbyt dobrym psychologiem, aby być człowiekiem żonatym. Nie mam zielonego pojęcia, kto jest panią A.!

— Pan jest kawalerem? — wyrwał się okrzyk obecnym.

— Dziwilem się też zaraz, że Cradock właśnie pańską żonę mógł uwieść. A akcje Południowego Morza?

— Nawet nie dotknąłbym się tych akcyj — odrzekł Armstrong. — On sam się o tem przekona, jak przyjdzie do swego banku. Wymyśliłem te historyjkę tylko dlatego, aby wystawić na próbę twierdzenie Cradoeka, że jedynie pieniądze dają szczęście.

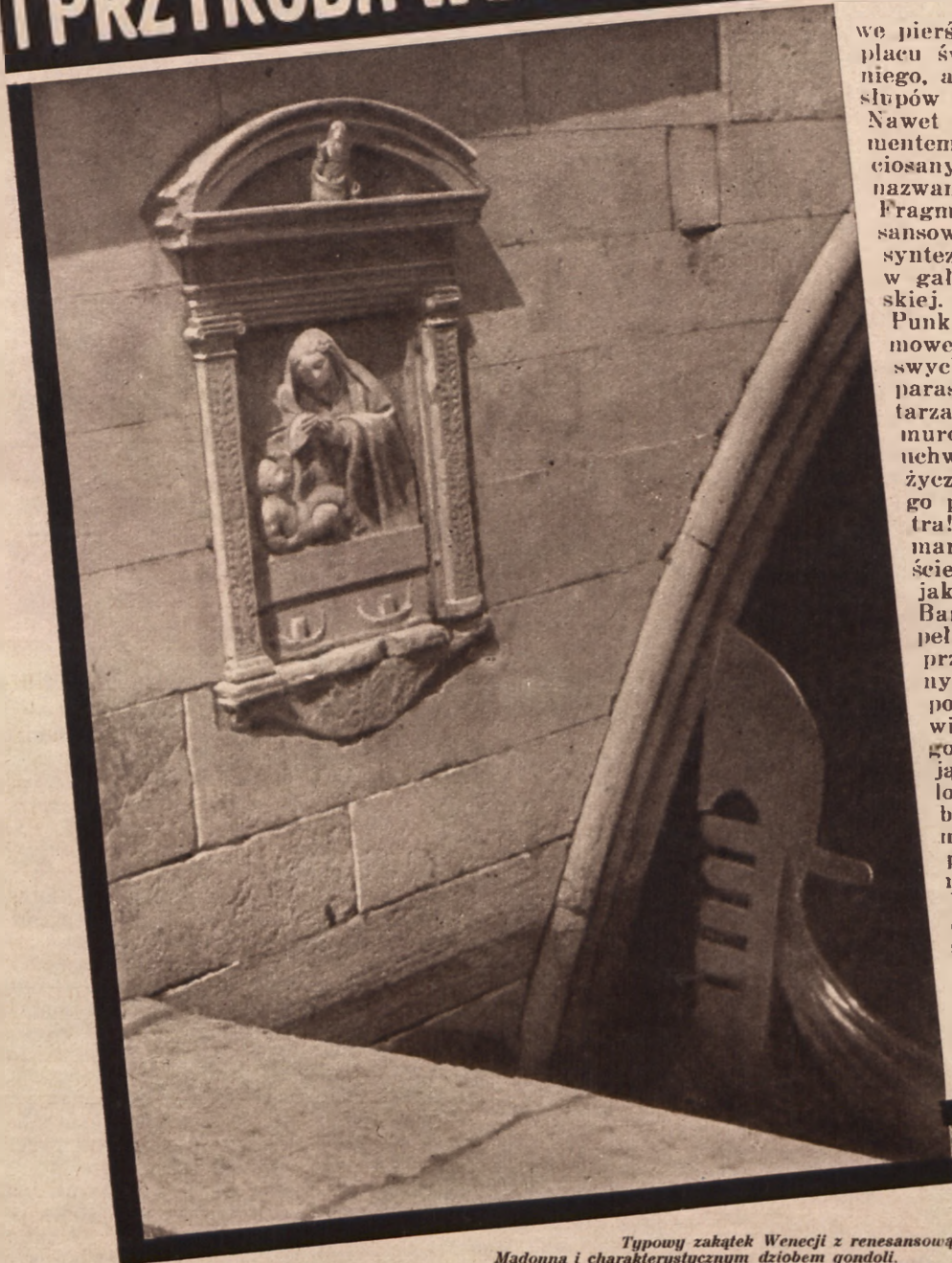
Wszyscy obecni spojrzeli zdziwieni na swego gospodarza. Bluff! Wszystko było tylko bluffem. Skierowali się ku drzwiom.

— Panie Armstrong — rzekł Dixon, jestem przekonany, że gdyby się pan zgodził na dwanaście posiedzeń, to mógłbym namalować arcydzieło!

(Tlum. Jgm.)

ARCHITEKTURA

I PRZYRODA WŁOCH W POLSKIEJ FOTOGRAFII



Typowy zakątek Wenecji z renesansową Madonną i charakterystycznym dziobem gondoli. Zdjęcia Fot. dr. T. Przytkowski.

Złożony w ubiegłym roku w Warszawie Instytut Kultury Italskiej „Istituto Italiano di Cultura” w Warszawie, posiada oddział swój w Krakowie przy ul. Sławkowskiej 12. Prócz licznych odczytów, wygłaszanych przez gości przyjezdnych z Włoch i miejscowych uczonych, urządzono w b. roku dwie wystawy prac malarzy polskich, którzy przebywali na studiach artystycznych w Italji. Chodziło o wykazanie, jak włoskie niebo, krajobraz, przyroda i zabytki architektury działają na twórczość naszych artystów. Wyniki okazały się bardzo dodatnie. Obecnie d. 7 bm. otwarto wystawę artystycznych fotografii dra Tadeusza Przytkowskiego, zawodowego historyka sztuki, szefa propagandy miasta Warszawy. Zdjęcia te są nowoczesne w całym tego słowa znaczeniu. W przeciwieństwie do dawnego nudnego spo-

sobu zdejmowania frontalnego, na fotografiach dra Przytkowskiego widzimy osobliwe podejście do przedmiotu. Oto chwytą on np. widok świątyni doryckiej w Paestum (na południe od Neapolu) poprzez kolumny drugiej świątyni, albo poprzez te kolumny urywki nieba ze światłem przedzierającym się przez obłoki. To znów stary romański krużganek klasztorny ze słońcem rzucającym jasne plamy wśród uroczych murów. Poprzez luk okienny oglądamy przecudny ogród siedemnastowieczny, skąpany w słońcu. Jak pięknie wyglądają fasady florenckich i palermitańskich kościołów widziane spoza zasłaniających je nieco palm i cyprysów.

Specjalnością dra Przytkowskiego jest chwytanie pięknych fragmentów, nawet bardzo drobiazgowych. Oto zdjęcie z góry stopnie sławnej areny w Weronie jak i greckiego teatru w Syrakuzie, zataczające przedziwne umiara-

we pierścienie. Znamy dobrze olbrzymie ujęcie placu św. Piotra w Rzymie kolumnadą Berniniego, ale tu uchwycone są potężne podstawy słupów tej kolumnady, ze światłami i cieniami. Nawet nie gardzi dr Przytkowski takim fragmentem, jak samym murem pałacu, z pięknie ciosanych ostrosłupowych kamieni, w od nich nazwanym Palazzo dei Diamanti w Ferrarze. Fragmentek kanału, z dziobem gondoli i renesansową na murze Madonną, to taka świetna synteza Wenecji, jaką jest np. ujęcie wiosny w gałązce kwitnącej wiśni w sztuce japońskiej.

Punkt widzenia bywa przedziwny. Pnie palmowej alei tworzą ciekawą kolumnadę ze swych nasiekanych pni, to znów jakby wielki parasol, palma zdjeta od dołu. To samo powtarza się w architekturze, las strzelistych marmurowych wieżyczek medjolańskiej katedry uchwycony z góry, ze szczytu głównej wieżyczki! Kolumnada genueńskiego barokowego pałacu zdjeta wskośnie z pierwszego piętra! Przeciążony barokowymi rzeźbami w marmurze szczyt neapolitańskiej wieży kościelnej widziany wskośnie zdołu, podobnie jak przesławnej fasady Certosa di Pavia.

Bardzo trudne są zdjęcia pod światło przy pełnym słońcu, ale dają zato przedziwne przeciwstawienie blasku części oświetlonych i głębokich cieni. Tak w porcie neapolitańskim w głębi widać dymiący Wezuwiusz, a bliżej, spoza szczegółów pierwszego planu, łśni fala. Wąska i kręta, spinająca się ku górze uliczka w Sienie, w polowie pogrążona w cieniu. Słońce rzuca swe blaski na mostek weneckiego kanału, a mrok panuje w przepaściastych pałacach patrycjuszowskich i w ciasnych między nimi uliczkach.

Dr Przytkowski nie gardzi też nową architekturą, wydobywając jej dodatnie strony.

Ks. dr Tad. Pomian-Kruszyński.

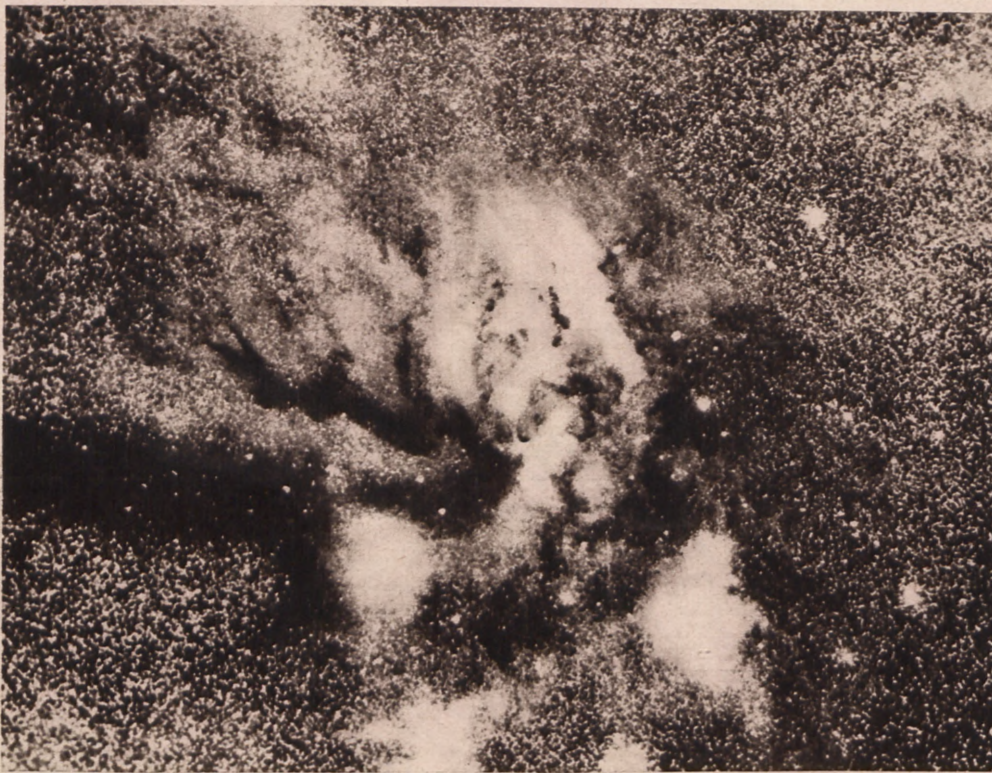
Poniżej: Ciekawe zdjęcie palmy sycylijskiej, tworzącej wspaniały parasol.



IL DUOMO W MEDJOLANIE, wybudowany z białego marmuru z 365 wieżyczkami — prawdziwe arcydzieło średniowiecznej architektury. Fot. dr. T. Przytkowski.



CZŁOWIEK PISZE SWĄ HISTORJĘ W KOSMOSIE...



Ogrom wszechświata: Część Drogi Mlecznej w gwiazdozbiorze Wężownika.

Ktoś raz powiedział, że wiedza ludzka zrodziła się ze zdziwienia. Człowiek olśniony mnogością i różnorodnością zjawisk, począł dochodzić do ich źródła, począł badać ich tajemnice, a potem... potem starał się własnymi skromnymi siłami i środkami zjawiska te powtarzać. Zrodziła się w ten sposób nauka eksperymentalna, powstał w ten sposób jej dorobek, objęty nazwą wiedzy ludzkiej.

W początkach, u kolebki wiedzy ludzkiej, człowiek szukał dla siebie miejsca na ziemi. Uważał siebie i ziemię, na której ujrzał światło Boże, za czynniki najważniejszej w kosmosie.

Z biegiem wieków człowiek począł pogłębiać obserwację otaczających go zjawisk, począł szeregować je w logiczny łańcuch.

W swoim dążeniu do poznania, człowiek szuka dla siebie miejsca w dalekim kosmosie, stara się zgłębić źródło swego pochodzenia, celu swego trwania oraz swej nieznannej przyszłości.

Szukając odpowiedzi na te pytania, człowiek minionych stuleci obserwował pilnie niebo, starając się ze zjawisk na nim zachodzących odczytać swe przeznaczenie. Starzy nomadzi, błądzący po pustyniach, a orjentujący się wedle gwiazd, stworzyli pogląd, że wszystko co się dzieje na ziemi jest odbiciem tego, co się dzieje na niebie. Kładli oni podwaliny pod wiedzę, która przetrwała wiele wieków i zaprzętała najtęższe umysły ludzkie, a mianowicie pod astrologię.

Z wielkiej przestrzeni kosmicznej płyną od wieków ku nam sygnały. Sygnały te są różnorodne, a wyrażają się w zjawiskach, jakie obserwować możemy pośrednio czy też bezpośrednio. Te sygnały były tajemniczym alfabetem, który starał się człowiek odcyfrować, a czytając księgę kosmosu na podstawie poznanych znaków, dochodził do różnych, nieraz frapujących wniosków.

Najważniejszym z tych wniosków był ten, który stwierdził, że życie ludzkie jest genetycznie związane nie tylko z życiem na

ziemi, ale z kosmosem. Wiemy dziś ponad wszelką wątpliwość, że przedewszystkiem słońce jest wielkim dawcą życia na ziemi i bez niego panowałaby martwota. Do życia potrzebne jest światło i ciepło. Z wielu miliardów słońc, krążących w bezdennej przestrzeni kosmosu to jedno nasze jest wyłącznie dawcą życia.

Dalsza analiza sygnałów, a przedewszystkiem najważniejszego z nich, t. j. światła, doprowadziła nas do poznania wielu tajemnic kosmosu. Ustaliliśmy, że ziemia jest znikomym pyłkiem w świecie, że nie jest najważniejszym tego świata szczegółem. Doszliśmy do wniosku, że poza ziemią i słońcem istnieją miliardy ciał niebieskich, przewyższających swymi rozmiarami nawet system słoneczny. Oto niedawno odkryliśmy nowy sygnał, idący ku nam z kosmicznej przestrzeni. Nazwaliśmy go kosmicznymi promieniami. Dla zbadania tych promieni wznoszą się wysoko ponad ziemią stratosfery. Dla zbadania tych promieni najtęższe umysły ludzkie ryzykują swe życie. Jesteśmy w tej chwili zaledwie u progu tajemnic tych niezwykłych promieni, a już tak wiele tajemnic one nam odstąpiły. Pozwoliły na sięgnięcie w głąb materji i szczegółowsze poznanie jej struktury.

Badanie kosmicznego promieniowania zarówno świetlnego jak i ciemnego pozwoliło nam w dalszym ciągu na ustalenie cegiełek, z jakich świat jest zbudowany.

Wiemy dziś, jak wysoka jest temperatura odległych gwiazd, wiemy z jakich pierwiastków są te gwiazdy zbudowane, potrafiliśmy obliczyć ciężar poszczególnych olbrzymów kosmicznych, a nawet określić ciężar materji, zawartej w pustce kosmosu.

Stoimy dopiero u progu poznania, a już tak wiele wiemy. Pokolenia, które po nas przyjdą, wiedzieć będą pewnością więcej.

Na drodze swojej człowiek pozostawia ślady, z których w ciągu wieków powstaje historia ludzkości. Człowiek pierwotny nie pisał historii. Mówimy o nim na podstawie znalezisk. Wnioskujemy z tych znalezisk,

jak mieszkał, jak żył, czem się trudził, w co wierzył. Człowiek późniejszy zostawił więcej śladów, nie tylko w postaci przedmiotów użytku codziennego, ale także śladów pisanych.

A człowiek dzisiejszy nie tylko zostawia ślady na ziemi, człowiek współczesny pisze swą historję w kosmosie.

Dotychczas mówiliśmy o sygnałach z kosmosu na ziemię. Zastanówmy się pokrótce nad sygnałami, jakie ziemia wysyła w kosmos. Do niedawna były to sygnały bardzo blade, było to tylko odbicie promieni słonecznych od ziemskiej powierzchni.

Przyszły teraz sygnały inne, tejsamej co światło natury. Sygnały te płyną z ziemi nieprzerwanie ku dalekim gwiazdom.

Warto czasem, siedząc przy głośniku radiowym, zastanowić się nad wielkością wynalazku, z którego korzystamy. Wiemy o tym wynalazku bardzo wiele. Ale nie w tem rzecz. Sprawa sięga nieco dalej.

Czy zastanowił się ktoś nad tem, co się dzieje z temi falami radiowymi, wypływającymi ze wszystkich anten świata, a których tylko znikomy ułamek odbieramy na antenach naszych aparatów. Wiemy, że fale te biegną wysoko ponad ziemię, docierając aż do sfery Heaviside'a, położonej mniej więcej 100 km. ponad naszym globem. Stamtąd odbijając się wielokrotnie, okrążają ziemię, docierając do licznych rozsiągniętych na jej powierzchni odbiorników.

Czy jednak tak jest? Czy wszystkie fale odbijają się o zjonizowaną warstwę atmosfery, leżącą 100 km. ponad ziemią?

Otóż nie wszystkie. Są takie, które przedostają się poza obręb tej warstwy i mkną daleko w kosmos. Tam natrafiając na ciała niebieskie, odbijają się od nich jak echo. Są takie, które odbiwszy się od dalekich gwiazd, mkną zpowrotem ku nam. To echo radiowe da się już dziś stwierdzić. Rzecz jasna, że ilość tej odbitej od ciał niebieskich energii jest bardzo mała, bardzo mało jej wraca na ziemię. Trzeba niezwykle czułych aparatów rejestracyjnych na to, ażeby podłuchać echo naszych własnych głosów i znaków niesionych na falach radiowych we wszechświat.

Dziś technika nie zdobyła się jeszcze na tak doskonałe aparaty, któreby mogły wyłwaczać radiowe echa kosmiczne, z całą precyzją i dokładnością. Aczkolwiek fale radiowe biegną z chyżością światła, wynoszącą 300.000 km. na sekundę, to jednak odległości kosmiczne są tak duże, że czas potrzebny na przebycie takiej fali z ziemi do gwiazd, wymaga nierzadko wieluset, a nawet wielu tysięcy i milionów lat.

Jeśli weźmiemy pod uwagę nasz mały system solarny, to tu fale odbite od planet czy od słońca, wrócą stosunkowo bardzo szybko na ziemię. Na fale wysłane w kosmos przez pokolenie dzisiejsze, będą musiały czekać długie szeregi ludzkich pokoleń. Niektóre z nich, z tych dziś wysłanych fal wrócą może wtedy, kiedy na ziemi zamrze życie i nie będzie komu słuchać kosmicznego echa.

Falami radiowymi wysyłanymi z maszyn antenowych niemal bez przerwy od wielu lat człowiek pisze swą historję w kosmosie. Pisze ją nadawaniem depesz, odcyfrowaniem, koncertów, przemówień i słuchowisk. Zaczął już pisać nadawaniem obrazów. Przyjdzie kiedyś czas, kiedy pokolenia przyszłe będą nadsluchiwały echa kosmicznych i będą czytały z nich historję pokoleń, które dawno umarły. Może przyszłe pokolenia będą nawet oglądały nas, a raczej nasze obrazy, zagubione w kosmosie, a wysyłane na radiowych falach. Człowiek dawny pozostawiał po sobie ślady na ziemi, człowiek obecny ślady te zostawia w kosmosie.

S.A.M.



Wspaniały widok roztacza się w okolicach Tronhjemu na liczne wysepki.

NA BŁĘKITNYM EKRANIE

Poniżej: Charakterystyczny krajobraz w fiordach norweskich.

Wspomnienia marynarza.

Granitowe masywy skał, piętrzących się nad spokojną tonią fjordów, mają w sobie urok jakiejś posepnej potęgi, która przyniata duszę.

Smutną ciszę przerywa tylko cichy plusk fal, uderzających o skaliste, niedostępne wybrzeże. Do granitowych bloków skał przylatują się małe, białe domki, które zdaleka wyglądają jak zabawki dziecięce.

Smutne musi być życie tych ludzi na pustkowiach, w obliczu posepnych zwałów skalnych, wiejących chłodem i pustką!

Z uczuciem wielkiej ciekawości podążyłem po raz pierwszy na ląd norweski w jednym z najstarszych i największych miast tego kraju — Tronhjem.

I tutaj — jak zresztą na całym świecie — natura ludzka potrafiła się przystosować do warunków. Norwegowie to naród dzielnych żeglarzy i rybaków; nie posiadając bogactw we własnej ojczyźnie, potrafili wywalczyć je sobie na morzu. Małe kutry rybackie zapuszczają się odważnie daleko w morze na połowy ryb. Wielu rybaków ginie podczas sztormów na mglistym morzu Północy, lecz nie odstępca to innych. Pracują ciężko na chleb powszedni zmagając się z okrutnym żywiołem, tak, jak to czynili od wieków ich dziadowie i pradziadowie.



Chwila przed wyruszeniem statku w dalszą drogę...



Dziwny a bardzo charakterystyczny przypadek zdarzył mi się w tym zimnym, a tak niezmiernie miłym kraju.

Gdy pewnego wieczoru szybkim krokiem wracałem na okręt, usłyszałem za sobą wołanie:

— Piłsudski! Piłsudski!

Zaintrygowany, przystanąłem. Któż tutaj — pod kołem polarnym — wymawiał imię Pierwszego Marszałka Polski?

W tem dopadł mnie jakiś zaferowany jegomość...

— Nareszcie... — wyszeptał po angielsku — nareszcie pana dogoniłem!

— O co właściwie chodzi? — spytałem, nie już zupełnie nie rozumiejąc.

— O, to proste — odparł mój jegomość, ciężko sapiąc. — To zupełnie proste. Poprostu poznałem mundur polskiej marynarki, a nie mogłem pana dogonić.

— No, dobrze... ale dlaczego pan wołał Marszałka Piłsudskiego, ja przecież...

— Ależ to proste... Wiedziałem przecież, że pan, jako Polak, zainteresuje się, kto w Norwegji woła imię waszego Marszałka i za-

trzyma się pan, obejrzy, przystanie na chwilę, a przecież o to mi tylko chodziło.

Spojrzałem ze zdumieniem na tego mądrego człowieka, który okazał się tak przewidyującym psychologiem.

— No, tak — ma pan rację — odrzekłem po chwili — ale skąd to panu przyszło tak nagle na myśl?

— No, jakże, to pan nie rozumie? Mundur polski... Polska... Piłsudski... to przecież są wyrazy, które się tak ściśle łączą, że wymawiając jeden z nich, myśli się o drugim. To przecież jasne!

— Tak, to rzeczywiście jasne! — odparłem w zamyśleniu. — Ale czym mogę panu służyć?

— Jestem filatelistą! — odparł mały człowieczek lapidarnie. — Interesuje mnie wymiana znaczków pocztowych.

Jan Mrozowicki, por. mar. handl.



Oficerowie na pokładzie swego statku.

Naród ma prawo istnieć tylko jako państwo. A państwa symbolem i państwa rzeczywistością jest przede wszystkim armia. Żołnierz polski od samego zarania naszych dziejów utrzymywał granice i on ich bronił. Walczył na wszystkich frontach z wrogami, spieszył za ziemie graniczne z pomocą uciśnionym i nękanym narodom. Żołnierz polski był zawsze ucieleśnieniem najwyższych cnót rycerskich. Żołnierz polski był zawsze najświetniejszym ze wszystkich na świecie.

Wspaniałą jest historia polskiego wojska. W pierwszych dniach naszej państwowości broni granic Ojczyzny pospolite ruszenie, które odnosi największy triumf na polach pod Grunwaldem. Ale ustawiczne napady tatarskie zmuszają Polskę do pomyślenia o stałym wojsku zaciężnym, któreby na kresach wschodnich broniło ziem polskich. Gdy jednak z biegiem lat nadchodzą takie chwile dziejowe, że Polska musi prowadzić wojny obroncze niemal ze wszystkimi sąsiadami, Sejm uchwała powołanie do życia wojska stałego, którego początki sięgają połowy XVII wieku, a które rozwija się za czasów hetmana Sobieskiego, by już pod wodzą króla Jana III zdobyć jedno z największych zwycięstw polskiego oręża pod bramami Wiednia.



Marşnarze przechodzą przed trybuną Pana Prezydenta Rzpltej na polu Mokotowskiem w Warszawie.



Piechota w mundurach z czasów Powstania Listopadowego z de

WOJSKO



Drugi pułk Ułanów Grochowskich im. Józefa Dwernickiego z poczem sztandarowym w historycznych mundurach z 1831 r. podczas rewji w Suwałkach w r. 1932.

W wojsku naszym najświetniejsze triumfy odnosi jazda. Orle pióra wyrastają u ramion naszych husarzy, by dokumentować, że zakuci w stal rycerze zdruzgocą każdą przeszkodę, zniszczą każdego wroga, sięgającego po ziemie tego kraju, którego Orzeł Biały jest godłem. A później, gdy wymagają tego warunki strategiczne, walczy dla Polski i o Polskę lekka kawalerja. Ułani, szwoleżerowie i strzelcy konni. A z jazdą murem w obronie Ojczyzny staje piechota, a za nią działa armatnie, które po raz pierwszy odniosły chrzest bojowy pod wodzą Jana Sobieskiego w odsieczy wiedeńskiej.

Gdy nadeszły ponure dni niewoli, żołnierz pol-

Somosierra 1808

Przez ciąg wieków, gdzie t oręż polski zdobywał nieśn czy to hufce Chrobrego, czy wielki Grunwald, czy trium

Czy potem poprzez całą Eu gdzie kroczył Napoleon — Powstanie Listopada — czy który stworzył Legjony i z

Tyle nazw bohaterskich — zwycięstwo — nie cud, ale Wojsko polskie triumfem n i triumf ten na zawsze w s



... defilującymi samolotami jako symbolem współczesnej broni.

komendant do garstki wiernych sobie strzelców i drużyniaków mógł rzucić pamiętny historyczny rozkaz:

— Żołnierze! Spotkał Was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójście do Królestwa, przestąpicie granice rosyjskiego zaboru jako czołowa kolumna Wojska Polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie Ojczyzny...

Wielki czyn polskiego Wodza, Komendanta Józefa Piłsudskiego wskrzesił wojsko polskie. Odrodziły się legjony. Powstały formacje jazdy, piechoty, artylerji, kolumny czołgów, eskadry samolotów, marynarka. Pod wodzą kochanego Naczelnika wojsko polskie odnosi znowu wspaniałe triumfy, broniąc wywalczonej krwią własną Ojczyzny. A gdy nadeszły dni spokoju, formacje wojska polskiego rozwijają się, rozbudowują, pomne historycznych słów swego Wodza:

— Armija podczas wojny robi tylko to, czego ją nauczone w czasie pokoju. Musimy nauczyć się różnych rzeczy dotyczących walki, aby móc je wykonać wówczas, kiedy nastąpi czas walki orężnej.

Żołnierz polski, który dał — jak powiedział Komendant — swej Ojczyźnie nową wartość, której bez niego nie posiadała, — jest znowu najświetniejszym żołnierzem na świecie.

Stan. Witold Baliński.



Oddział naszych tanków, biorący udział w wielkiej rewji wojskowej.



★ POLSKIE

...ki bił się w szeregach państw zaprzyjaźnionych, wierząc, że zwycięstwa jego oręża przyczynią się do rozstąpienia istnienia Polski po całym świecie i wcześniej czy później staną się jednym z ogniw wielkich czynów o odrodzenie państwa polskiego walczących.

Nie pomogły jednak triumfy wojska polskiego, nie pomogły walki powstańcze. Wojsko nasze przestało istnieć, bo przestało istnieć państwo. Ale znalazł się człowiek, który od dzieciństwa roił sny o żołnierzu polskim i o nowych walkach orężnych polskiego wojska. Sny i marzenia przekuwał w stal czynu. I nadszedł dzień 5-go sierpnia 1914 roku, gdy w murach Krakowa jako

1908-1915 Rokitna

...ie tylko szły stopy historii,
...śmiertelne laury —
...czy Płowce, czy w glorii
...iumf pod Wiedniem husarji.

...Europę, przez morza,
...czy ofiarą zbrojne
...czy wreszcie ten pożar,
...i zwycięstwo w wojnie.

...a potem nad Wisłą
...ale siła narodowa!
...m nad wieki wyblęsto
...w swych mieczach zachowa!

WIT.



Poczet sztandarowy 17 Pułku Ułanów podczas defilady przed Panem Prezydentem Rzeczypospolitej.

OD KRZEMIENIA DO HOLLANDA.

Wiszą tuż obok koło siebie na ścianie, jakoby dwie siostrzyczki, jednemu celowi poświęcone, dwie w rysunku tak do siebie podobne, a jakżeż różne.

Skalkowa flinta, w grawerunki i inkrustacje zdobna, z którą pradziad sam do boru na niedźwiedzia chadzał i skromna bez zdobień kocią słoniową i srebrem wielostrzałowa broń prawnuka, ...na płochliwe zające...

Cała historia ludzkości, cały wielowiekowy okres walki człowieka z jego ziemskim otoczeniem i jakaż dysproporcja ogromna!

Tamto... skalka krzemieniowa, wkrębowana w „pyszynek” kurek, który, padając na panewkę, krzeszał iskrę, zapalając proch, ta druga, wspaniała i precyzyjna broń mechaniczna, miotająca lufą naboje.

Trzeba było wielkiej odwagi myśliwego, gdy zimą w dzień wilgotnej ponowy, z skalkówką, bardzo piękną jak i zawodną, zbliżał się do misiowego barłogu, nigdy nie wiedząc, czy proch się nie wysypał z panewki, czy „skalka” da ognia i czy, nim lana w spichlerzu „kula misiowej piersi dosięgnie, zbudzony z drzemki miś nie sięgnie po skórę myśliwego.

A dziś...? Dziś dzieje się inaczej. Broń palna nie zawodzi. Masa piorunująca, zamknięta w mosiężnym kapiszonie naboju, wypali zawsze, a o ileby i nawet nie wypaliła, jako żywo nie zajdzie ewentualność, by rozgniewany z przerwane go snu zajęć z pazurami rzucił się na myśliwego.

Inna broń... inne czasy.

Skalkowa broń jednak nie stanowi dziś jeszcze tak bardzo archaicznego zabytku, jakby się to zdawać mogło.

Nie pochylił się tak bardzo, mchem porośły krzyżyk, nad wiejską mogiłą, gajowego Staśki, który, będąc zawołanym konserwatyście, małego dzieciaka ze dworu uczył pierwszych kroków na tropach łowieckich, a który, odnosząc się z pogardą do genialnego wynalazku Stefensona (kolei żelaznych) innej broni, prócz właśnie skalkówki, nie używał.

Cóż to była za wspaniała armata!

Czeluście lufy chłoneły pół funta prochu, drugie tyle pakulów lnianych i siekańców... a jak wypaliła, to i z starej gajówki oryginała sypały się szare gonty.

— Garścią w nią sypiesz — to i garścią zbierasz! — powiadał stary Staśko, który złowrogą kolubrynę oddziedziczył po swoim dziadzie, który z Napoleonem jeszcze pod Lipsk chadzał.

Wisiała zawsze nad jego łóżkiem, solidnie powiązana sznurkami, a tylko dziecięcej



Broń człowieka w średniowieczu była tarcza i halabarda...

naiwności i nieświadomości skutków używania podobnej broni zawdzięczać należy, że wtedy zaryzykowałem go prosić:

— Mój Staśko, złościutki, kochany, daj mi raz, jedyny, jedniusiński, wystrzelić...

— Hola... już mu się zachciewa... niedawno cię nianka w wózku woziła...

— Ale teraz już mogę, mój Staśko.

Stary coś mruczał i zrzedził, ale już kolubrynę ze ściany zdejmował, z pod poduszki dobywał: butlę z prochem, pakuły i brał garść siekańców.

Zaczynał się ceremoniał nabijania, przybijania stemplem, a następnie długa nauka.

— Trzymaj mocno... O widzisz te wrony na sośnie?

— Widzę!

— Trzymaj mocno na „języczku” i ciągnij.

I pociągnąłem. Po dziś dzień pamiętam tę fontannę ognia i dymu i te drzazgi, które pęsały się z sosny i te wrony, które... odleciały żywe... I to także, że potem długo, bardzo długo przykładano mi w domu jakieś „odciągające” okłady na ramię i szczękę, które bardzo opuchnięte były.

Trudno by nam dziś był, myśliwym współczesnym, wyobrazić sobie dawniejsze łowy.

Wiemy że znalezisk przedhistorycznych, jak to człowiek polował na łosia i jaskiniowego niedźwiedzia, doły nań kopiać, a potem w kamienny topór uzbrojony, całą gromadą napadał na osłabione z głodu w matni zwierzęta.

A długo, długo potem, po przejściu epoki brązu i łucznictwa, z chwilą odkrycia prochu, do łowów wyłącznie dzidy i rohatyny, łuku i sokła używał, broń ognistą jako niemiecką w czasie zapasów ze zwierzem w kniei w lamusach zostawiając.

Znać dobrze obyczajne zwierząt łownych, ich nieprawdopodobnie wrażliwe zmysły słuchu, węchu, wzroku, wyda nam się nieprawdopodobieństwem polowanie z bronią palną t. z. lontową.

Nie różniła się ona zasadniczą budową od skalkówki z tą tylko różnicą, że rusznikarze, nie znający jeszcze tajemnicy fabrykowania sprężyn, eksplozowanie naboju wywoływali zapomocą zapalania zwykłym krzesiwkiem wystającym z otworu w nasadzie lufy, nasiarkowanego sznura.

Trzeba było uprzednio broń taką na widelkach podeprzeć, wycelować dokładnie, sięgnąć do kieszeni po krzesiwo i zapalić. — Przez chwilę tlił się siarkowy sznur, a potem z lufy buchał wulkan.

Wielkie przeto obławy na królewskich i książęcych dworach, urządzone z dekoracyjnym przepychem i bogactwem, były raczej bezgłośne w czasie swych miotów, zwierzyne rażono oszczepem, łukiem i kuszą, a strzelano jedynie... po skończeniu łowów na wiwat! Wielki venator w książęcej mitrze książę Rybeńko Radziwiłł, mimo posiadanego, wspaniałego arsenału broni palnej łowieckiej, za dyshonorby sobie uważał, pójście do kniei na odyńca z „piorunówką”, oszczepu nań jedynie używając.

Tradycja wielkiego Rybeńka po dziś dzień w Radziwiłłowskim domu pozostała, a obecny ordynat Dawidgródzki ks. Karol, po dziś dzień oszczepik na dzika w zamku przechowuje.

Zasadniczym przewrotem w rusznikarstwie myśliwskim była chwila wynalezienia kapiszonu z masy piorunującej i broni t. z. ognia centralnego.

Skalkówki, lontówki, oszczepy i kusze spożyły na zawsze w muzealnym śnie.

Dziwirowa kapiszonówka okazała się bronią niezawodną po dziś dzień mimo niewygody w użyciu, pozostała w opinii myśliwych bronią w strzale pewną.

Europejskie fabryki broni myśliwskiej poszły wtedy na wielki wiecieg w udoskonalaniu fabrykacji kapiszonówek. Tulskie Cesar-

skie Zakłady Broni. Nowotny w Pradze, Purdey i Holland, Lepage i Fabrique National, zaczęły produkować masową broń kapiszonową, z której Tulskie i Nowotnego dubel-tówki zyskały sławę niezapomnianą.

Technika jednak nabijania kapiszonówki okazała się wciąż jeszcze bardzo niedogodną.

Zaradca temu inżynier Lefaucher, konstruując broń, nabijaną od tyłu, eksplodującą za pomocą uderzenia w iglice naboju, wysłające nazewnątrz.

To daje bodźca do nowych ulepszeń i wreszcie tuż przed wojną francusko-pruską powstaje wynalazek t. zw. ognia centralnego i broni myśliwskiej tej konstrukcji, jakiej po dziś dzień używamy... Coraz dokładniejsza broń i coraz to mniej zwierzyne.

W Belgji zabicie skowronka zaliczone zostaje do wielkich trofeów myśliwskich, we Francji tylko Prezydent może polować na jelenia w czasie łowów reprezentacyjnych.

Co drugi Francuz ma pięciostrzałowy brauning, co drugi Belg wspaniałą kolekcję broni kulowej.

Tylko jeszcze u nas w Polsce po cichych dworach kresowych zachowały się poczciwe „pistonówki”, a w kniei niedźwiedź i łos.

I da Bóg, że zostaną do chwili, aż ktoś tam może wymyśli polowanie na grubego zwierza bronią iperytową.

Po sromotnym pudle do gluszcza, na pierwszym wiosennym toku, powracam chmurny do „kurenia” ze smętnie zawieszoną Sauc-rówką przez plecy.

W leśnym namiocie „kurenia” rozpalając przygasłe ognisko, był już gajowy Hawryłko.

Zabił swego gluszcza na bagnisku w brzo-zowym lesie, przytaszczył wielkiego ptaka do obozowiska, a teraz grzał kawę w garnuszku, oczekując mego powrotu.

Popatrzył ku mnie i zmrużył swe jasne oczy w uśmiechu leśnego stwora.

— Nie poszańcowało... a?

— A nie, pudło!

— Tak ja i tobie mówił panok... Strzelba twoja dobra... ale na zabawki... Hłuszec silny, jemu treba kości połamać, a nie to, coby on od szumu (huku) ze strachu padoch.

Oparta o drzewo stała stara kapiszonówka gajowego.

Zwycięzczyń dzisiejszego poranka.

— Kto wie... może ty masz rację, Hawryłko.

Ale nie zawsze wszystko tylko od broni zależy.

Czasami też i od myśliwego.

Feliks Dangel.



Nabijanie flinty skalkowej szło nadzwyczaj powoli...

„ZEGARY WIEŻ NA KRAKOWSKICH KOŚCIOŁACH O ŚWICIE”.

WYJĄTEK Z „AKROPOLIS“ ST. WYSPIAŃSKIEGO
NA CHÓR ŻEŃSKI.

MUZYKA: BOLESŁAWA WALLEK-WALEWSKIEGO

Copyright by Magazine „AS” — 1935.

Moderato.

Dzwoń dzwo. neczku dzwoń, srebrem wsrebrny głos, Nie, siesz się nad ton
Graj dzwoneczku graj. Fi. jo. tecz. ku woń
nad Wi. śla. . . ny wrzos. Czas już Czas: Mto. tem bi. jemy czel. rył
nie. siesz się nad ton we Wi. śla. ny maj. Ton dzwo. necz. ku ton
ra. zy me. ta. lo. wy dzban. Bierz za Erzon, mto. tem o. gni. em
we Wi. śla. na ton fi. jo. tecz. . . ku woń, Wa. li mto. hej na lot, bie. zaj
bij wza. rze. wie, wo. taj i mię wal, i. dzie maj nad bla
gto. sem hu. ra. ga. nie, ro. ta wsta. nie, Zbi. gnie. wie
la la la la la la la la la la la la la la la la la la la
hej na lot. mto. tem wal, mto. tem wal, mto. tem wal!
az się o. zwie tę. tno wgrun. cie, wo. taj mia. no Zy. gmun. cie!
Prze. ja sną świe. cisz glo. ny. ją, prze. czy. sta. gwiazdo. li. ca,
włu. nach two. ja wie. ży. ca Ma. ry. jo! Gwiazdy się wien. cem kry. ją,
sta. jesz promienna wświe. tle na gwiazd i. skrz. cej mi. et. le! Ma. ry. jo!
Te. cze Cie. bie o. wi. ją, za. nim za. pto. ną jutrznie Ty wez. miesz wpier. si
włócz. nie. Ma. ry. jo! Andante Bia. ta czy. sta. li. jo,
o Prze. naj. świę. t. sza Pan. no, za. świec nam gwiazdą po. ran. ną,
za. świec nam gwia. zdą po. ran. ną. Ma. ry. jo!



Bolesław
Wallek-Walewski.

WYWIAD

Z

GIOCONDA

— Którą z tych pań uważa Pan za idealną urodę? — zapytał się mnie kiedyś mój znajomy, malarz znany w Polsce i zagranicą, gdy spotkaliśmy się na pewnym balu, w którym uczestniczyły najpiękniejsze kobiety stolicy. Proste to pytanie zadziło mnie, jak to mówią, w kozi róg, wobec czego stanąłem sobie w rogu sali balowej, aby zastanowić się nad nim i obserwować przewijające się w tańcu panie.

Idealna uroda! Boże, co za wielkie słowo! Bo przecież już dziadkowie nasi, chociaż nie słyszeli jeszcze o profesorze Einsteinie, mówili: nie to jest piękne co... I mieli słuszność. Ile par oczu patrzy się na kobietę, tyle będzie zdań, i tak ze wszystkim. Ale jednak każdy wiek tworzy sobie pewien ideał abstrakcyjny, który dopiero później się ucieleśnia. Zależy on od warunków bytu w tej epoce, od szerokości geograficznej, od poglądów, wymagań itd.

Gdy nieraz błądziłem po galerjach obrazów w Polsce lub zagranicą, gdy stawałem w zadumie przed takim czy innym portretem kobiety, ude-



Słynna aktorka filmowa Joan Crawford, uchodząca za ideal piękności Nowego Świata.



Portret Monny Lisz Gherardini, trzeciej żony Francesco del Giocondo, pędzla Leonarda da Vinci.

Pontież: Pani Récamier, ucieleśniająca ideał piękności czasów napoleońskich.



„Miłose świecka i niebiańska” Tycjana, z typami renesansowych kobiet.

rzało mnie zawsze to, że każdy z tych portretów uważano i podawano nie tylko w Baedekerze, ale też w historii sztuki jako ideał piękności, jako piękno abstrakcyjne, skondensowane, czyste, bez reszty, prawdziwe i... jedyne. Jaktoby, byłoby aż tyle „jedynaczek”? A przecież jedynaczka znaczy tyle, co jedna, nie mająca ani siostry ani brata...

Powoli dopiero zacząłem rozróżniać te panie między sobą i każdą z nich umieszczałem w innej przegródce. I doszedłem do dziwnych rezultatów. Okazało się bowiem i każdy zdaje się zgodzi się ze mną, że Wenus Milońska, nawet gdyby miała ręce, co by znacznie przyczyniło się do zbliżenia do niej, nie byłaby dzisiaj otrzymać na żadnym konkursie nagrody piękności. Nie możnaby z niej zrobić nawet... Miss Grecji,

a cóż dopiero Miss Europy! Jest zbyt... antyczna, wyraz jej twarzy zbyt... marmurowy, a choć zbudowana jest... posagowo, to jednak ciało jej nie pozwala przeczuwać w niej ani sportsmenki ani też kobiety współczesnej. A z temi grezynkami jest jeszcze stosunkowo najlepiej, gdyż przecież, jak wiemy i tam warunkiem urody było wysportowanie, dzielność osobista, energia, rzutkość i rzucanie dyskiem i t. p. cechy wspólczesne. Co druga Wenus z Milos, Delos, Mitilene czy Chios była małą Konopacką. Dlatego też nie dochował się żaden talerz z tych czasów... A cóż dopiero mówić o późniejszych kobietach? O średniowieczu, w którym portrety kobiet ukazują nam np. na obrazach Fra Filippo Lippi, Piero della Francesca, czy też Botticellego, jakiegoś nieco pergaminowe, pozbawione wyrazu żywotno-



ści i zrezygnowane twarze. Twarde życie średniowiecza, pełne ponurości, lub wzniosłej powagi, regulowane abstrakcyjnymi teoriami, lub też twardą realnością, odbiło się na twarzach ludzi współczesnych. Im bardziej była ona kamienna, im silniej przypominała wykute w marmurze postacie, tembardziej zbliżała się do ideału. A zresztą człowiek ówczesny wyobrażał niejako miasto otoczone murami, poza które nie zdołał spojrzeć. Dlatego też twarze te są mało ruchliwe, jakby przygaste, zamknięte w sobie.

Jeżeli kobiety ówczesne były takie, jakie je malowano, były pięknymi obrazkami, a nie żywymi istotami. Były przecież bardzo ograniczone w swjej działalności, obracając się jedynie w domu, koło męża i dzieci. Żywszy znacznie jest oczywiście renesans, który wyrobił sobie bardziej ziemski, zrozumiały ideał z krwi i kości.

Od XV do XVII wieku dominują w obrazach ówczesnych kobiety o wybitnej indywidualności, a u Rubensa i innych malarzy są one może nawet przesadnie żywe. Jakaż pełna wyrazu jest kobieta w obrazie Tycjana zwanym „Ziemska i niebiańska miłość” albo kobiety genialnego Rembrandta! Jeszcze bardziej ciekawymi są obrazy, przedstawiające Judytę z uciętą głową Holofernesa, co wygląda jak symbol przewagi mądrej kobiety nad mężczyzną. I faktycznie ideał kobiety renesansowej odbiegł daleko od kobiety gotyku: nietylko na płótnie, ale też w życiu było wiele wyemancypowanych, dzielnych i mądrych kobiet, jak Katarzyna Cornaro, królowa Cypru, liczne księżne z domów panujących na Ferrarze, Urbino, Este. One wszystkie przedstawiają pulsujące życie, rozliczne apetyty, które nie tak łatwo zaspokoić, dążenie do poznania wszystkiego, co ono niesie. Ideał piękności kobiecej stał się szablonowy w XVIII wieku, kiedy nieraz szminka, puder i róż zastępowały rysy twarzy. Stały się one wtedy jak cukierkowane, sztuczne choć piękne maski, pod którymi nie wiadomo co się kryło. Gdy patrzę na portret mej prababki, pani starościny dobrzyńskiej w peruce, o obficie przypudrowanej twarzyczce, zdaje mi się, że patrzę na inne kobiety XVIII w., tak są one do siebie podobne. Ideał piękna polegał wtedy może mniej na treści ile na formach. Zmienił się ten stan rzeczy później, gdy kobieta zrzuciła ze siebie krenolinę, przywdziawszy tunikę grecką, za czasów cesarstwa.

Jest to pierwsza emancypacja kobiety, pierwsze zrzucenie ze siebie socjalnych pętów, co nietylko uwidacznia się w modzie, ale też samej twarzy, która nabiera coraz bardziej pewnych siebie rysów. Lecz znów za pewien czas przychodzi odwet. Po zlikwidowaniu epopei napoleońskiej znów twarz kobieca zaczyna odwierciedlać ciche, spokojne życie domowe i wtedy największą jej zaletą jest stonowanie niejako jej rysów, usunięcie wszystkiego, coby wskazywało na szerszą jej indywidualną działalność. Ideałem Biedermayeru staje się główka kobieca, przypominająca nieco niemiecką „Gretchen” lub polską „Marysię”.

A dziś? Patrzymy się na tysiączne gwiazdy ekranu, które szumne reklamy zachwalają jako ideały piękności, mówimy o „boskiej” Grecie, o „nieporównanej” Marlenie, o „cudnej” Dolores. Kino i fotografia wogóle wywarło na wyrobieniu się ideału współczesnej kobiety decydujący wpływ. Malarstwo odegrało tu mniejszą rolę, co ma tę słabą stronę, że dając ciekawe dokumenty danej chwili, kino nie pozwala wyrobić się idealowi w sensie abstrakcyjnym. Ale ludzie XX wieku nie lubią abstrakcyj, wszystko musi być dotykalne, realne.



Marlena Dietrich, współczesny ideał kobiecej urody.

Za oknami muzeum słychać daleki gwar olbrzymiej stolicy. — W sali prowadzę niemą, ale jakże pełną zapytań rozmowę z tajemniczo uśmiechniętą, cudną z swym wyrazem twarzy, zagadkową, kryjącą jakąś tajemnicę w sercu: z Giocondą.

— Uwielbiamy dziś kobietę dzielną, równą mężczyźnie, nie mającą słabych stron

swjej płci, strzelającą z łuku, prowadzącą auto, grającą w tenisa, piszącą na maszynie, sądzącą w tozde, leczącą w białym kitlu. Kamienne kobiety gotyku, pulchne kurtizany i „bas bleus” renesansu, wyróżzowane, krynolino-we damy Wersalu należą do przeszłości. I ty, cudna Giocondo żyjesz w sercu malarzy i... historyków. Ale wy kobiety jesteście wieczne, odradzacie się ciągle, zmieniacie się jak kameleon. Jakiż będzie ideał wasz, wyśniony przez mężczyzn i artystów i poetów, a może zasugerowany przez Was, za lat pięćdziesiąt? Czy wróćcie do małego kółka, z któregoście wyszły, czy zdobywać będziecie dalej przywileje? Chłopczyca? Towarzyszka z napół męską twarzyczką, przedziałkiem, w okularach rogowych, czy też mdlejąca Delfina czy Olimpja, lub też zalotna pani w peruce, z muszką, z wachlarzem? Wszystko już było, tak czy inaczej, więc co będzie? Do jakiego ideału każecie się nam modlić?

Zdawało mi się, że piękna małżonka pana del Giocondo uśmiechnęła się do mnie z filuternym wyrazem. Ale wnet przypomniałem sobie, że przecież to jest ów „uśmiech Giocondy”, który w pojęciu niektórych uchodzi za synonim kobiecości. Synonim o tyle, że psychologja kobiety przypomina starożytny labirynt, w którym trudno się rozeznać.

— Czy pójdziecie drogą dalszej emancypacji, będziecie coraz lepiej podbijać piłkę tenisową i serca mężczyzn, czy też zaczniecie nosić staroświeckie „koki” naszych prababek, doglądając kuchni, dzieci i męża?

Gioconda uśmiechała się w dalszym ciągu. Ale jak to bywa w takich razach, nie dała odpowiedzi...

Jan Maleszewski.

U góry na lewo: Królowa Maria francuska, córka Stanisława I. Leaszczynskiego, pendzla Natllera. — Obok na lewo: Cesarzowa Eugenia, idealna piękność Drugiego Cesarstwa, obraz Winterhalters. — U dołu na prawo: Greta Garbo, subtelny typ kobiecej urody XX wieku.



KSIĄŻE

Z „trente-et-quarante”

Powieść Williama J. Makina. 12

Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— A, to pan ambasador? Dzień dobry Waszej Eksceleencji. Muszę się wytłumaczyć z niepokojenia pana, lecz chciałem zapytać, czy pan przypadkiem nie słyszał coś o Helenie Mann. Nie! Czy pan jest tego zupełnie pewien? Czy nie znajduje się ona przypadkiem w tej chwili w ambasadzie? Nie wiem. Nie, Wasza Ekscelencjo. Powód, dla którego się pytam o tę panią jest, że doniesiono nam, iż zginęła, a ktoś widział, jak wchodziła do ambasady Korawji. Tak, wiem to brzmi nieco dziwnie. Osoba, która widziała wchodzącą ją? — Evans rzucił porozumiewawcze spojrzenie na Cheshama. — Był nią książę Sergjusz Łobanow. Wasza Ekscelencjo.

W następnych kilku minutach inspektor Evans przysłuchiwał się wywodom ambasadora o szkodliwości wygnanych książąt. W końcu Evans podziękował ambasadorowi za informacje i odłożył słuchawkę.

— Oni zasadniczo zaprzeczają tej fantastycznej historii — rzekł do swego gościa. Ambasador był na tyle uprzejmy, że zrezygnował z pewnego przywileju dyplomatycznego i oświadczył, że gdyby chciał kazać przeszkukać ambasadę za zaginioną dziewczyną, użyłby mi wszelkiej pomocy.

— A pan przyjął? — spytał Chesham trwożliwie.

— Oczywiście, że nie. Specjalny Oddział Scotland Yardu nie zwykł robić ze siebie warjata. Przypuszczam, że mogła Wasza Wysokość przyjść do Scotland Yardu ze sprawą bardziej odpowiednią, niż wymaganie pomocy londyńskiej policji w jego czynnościach przewrotowych.

Chesham wstał.

— Pan jest szalony, panie Evans — krzyknął — ale przyznam się, że chce przewrotu. Ale nie w Korawji.

— W takim razie gdzie? — zapytał z niewinną miną Evans.

— W Scotland Yardzie — rzucił Chesham i wybiegł z pokoju.

Evans ze złością ujął za słuchawkę telefoniczną.

— Proszę pilnować księcia Sergjusza. Schodzi właśnie ze schodów. I proszę mi zebrać wszelkie informacje o Helenie Mann, 70a Piccadilly. Proszę sprawdzić. Wiecie już? Dobrze. Lecz również o ojcu jej, Marku Mann, pro-

szę zebrać informacje. Twierdzi, że jest finansista.

Evans odłożył słuchawkę.

— Dochodzę do przekonania — rzekł sam do siebie — że wiem tylko połowę tego, co by należało wiedzieć o tym tajemniczym człowieku.

W pół godziny później Chesham z rozpaczą, malującą się na twarzy, opowiadał Szefowi o bezcelowości swej wizyty w Scotland Yardzie.

— Dobrze, młody człowieku. Wiemy, gdzie jesteście. Ale mam inny plan.

— Plan, co do którego jestem zdecydowany — odrzekł młody Anglik — jest udać się wieczorem do ambasady jako książę Sergjusz Łobanow.

ROZDZIAŁ XVII.

Nieoczekiwana żona ukazuje się na horyzoncie.

Gdy Chesham wychodził z pokoju Szefa, Julian skłonił się przed nim, mówiąc:

— Przepraszam pana, Sir, przybyła pańska żona?

— Kto przyszedł? — spytał zdziwiony Chesham.

— Żona pańska, sir. — Twierdziła, że musi pana zobaczyć. Czeka w salonie na pana.

Chesham zawahał się. Była to kobieta, o której inspektor Evans ze Scotland Yardu mówił mu. Widocznie odnalazła jego adres. Zastanawiał się, czy wrócić z powrotem do Marka Mana, by poinformować go o tem zajściu. Ale przecież Szef zawsze był zdania, że Chesham powinien ją poznać i uspokoić.

— Jak... jak ona wygląda? — spytał się służącego.

Było to bardzo dziwne pytanie jak na męża, ale Julian jako służący dobrze wywieziony, nie okazał najmniejszego zdziwienia.

— Wygląda raczej dobrze. Powiedziałbym kwitnąco, Sir.

— Zejdę i zobaczę się z nią — zdecydował się Chesham.

— Jak pan sobie życzy, Sir.

Księcia Korawji poprzedził Julian. Idąc młody człowiek miał wrażenie człowieka, który ma się poddać badaniu lekarskiemu i spodziewa się, że usłyszy wyrok śmierci. Julian przedkimm ruchem otworzył drzwi do salonu, a twarz jego zdradzała współczucie.

Gdy Chesham się znalazł w salonie, zamknął szybko drzwi z wprawą dozorey więziennego.

— Jak się masz, drogi?

Głos dał się słyszeć z okolicy okna, koło którego na kanapie siedziała młoda kobieta. Rzuciwszy okiem na nią, stwierdził, że Julian nie zupełnie słusznie ją określił. Kwitnąca! Raczej jak przekwitła i obfita w kształtach czerwona róża. Czerwona jej suknia była nieco zmięta, a włosy jej blond przypominały piwo.

— Wszędzie ciebie szukałam, najdroższy.

Dwoje rąk czerwonych objęło go za szyję. Pomimo udawanego spokoju łono jej falowało. Przypominała ona żywcem jedną z postaci uwiecznionych na płótnie przez Rubensa, któraby naraz ożyła w dzisiejszych czasach.

— Bardzo panią przepraszam — zaczął Chesham dosyć chłodno. Zachodzi tu zapewne jakieś nieporozumienie.

— O zapomnij o tem, malutki — mówiła ta dziwna postać. Nie mów, że za pomniłeś, iż twoją małą Fibi zdobyłeś w barze przy koniaku.

— Owszem, piłem koniak i whisky — rzekł mężnie Chesham, ale nie znalazłem żadnej Fibi.

Odrzuciła głowę nerwowym ruchem i zaśmiała się tak jak się śmieją dziewczęta z baru, szczerze i prosto.

— Udało ci się mały — Chesham wzdrygnął się, słysząc znowu ten sposób mówienia. — Może powiesz jeszcze, że nie przypominasz sobie naszego ślubu na Henrietta-Street trzy lata temu?

— Nie przypominam sobie — rzekł Chesham poważnie.

— Albo naszych miodowych miesięcy spędzonych w Southend?

— W Southend? — pytał Chesham z powatpiwaniem.

— Oczywiście, dlaczegożby nie — odparła nieco podejrzliwie. Kochałam ten kąs i ty również aż do chwili, kiedy zachorowałeś spowodu jedzenia!

— Wiele rzeczy warjackich i nieprawdopodobnych zrobiłem w mojem życiu — głos Cheshama brzmiał prawie pouro. — Ale nigdy nie zatrulen się jedzeniem.

— Ani nie wynajęłeś domu w Clapham pod numerem 50-tym na Cherry Walk? Jeżeli dobrze się zastanowisz, to przypomnisz sobie, że mieszkaliśmy

tam przez kilka tygodni, zanim nie zniknął bez słowa pożegnania.

— Ależ zapewniam panią, że to jest wszystko przykra omyłka — upierał się Chesham.

Uśmiechnęła się, a różowe jej policzki ułożyły się w dołeczki.

— Kochanie, co to za dziwna gra? Wiesz, że możesz mi wierzyć. Miałam ogromne trudności, aby ciebie znaleźć. Myślałam już, że pojechałam do Korawji.

— Kto pani powiedział, że ja tu mieszkam? — zapytał.

— Nikt — odrzekła. Idąc do Scotland Yardu, aby dostać jakieś informacje, widziałam jak stamtąd wychodzisz. Poszłam za tobą. Gdy tu wszedłeś, zrobiłam oko do służącego przy drzwiach i prosiłam go, aby ci zakomunikował, że Fibi ciebie prosi.

— Ale musi pani wkońcu uwierzyć, że nie jestem jej mężem — rzekł Chesham zdesperowanym tonem.

Chesham był pewien, że nie posiada z prawdziwym księciem Sergjuszem żadnych cech podobieństwa. Było wręcz niezrozumiałe, że kobieta ta chciała go rozpoznać, podczas gdy prawdziwy książę Sergjusz znajdował się nierozpoznany w jakiejś policyjnej trupiarni. Czy miał jej to powiedzieć? Gdyby to uczynił cała przygoda wyszłaby odrazu na jaw, a jakież stanowisko zajęłaby wtedy Helena, ona, która obecnie znajdowała się w okropnym niebezpieczeństwie i którą postanowił ratować? Podczas, gdy myśli te kotłowały się w jego głowie, kobieta w czerwonej sukni uśmiechnęła się do niego z zadowoleniem.

— Nie myślę się — rzekła spokojnie. Jesteś moim mężem, posiadam dokument ślubu — zaczęła otwierać swoją torebkę — a twoje nazwisko stoi tam napisane czarno na białym. Mam nadzieję, że nie będziesz teraz przeczył, że jesteś księciem Korawji, Sergjuszem Łobanowem.

Wyciągnawszy papier z torebki, potrzasała nim przed Cheshamem. Chwył go w pewnej chwili i zaczął czytać. Był to wyciąg z rejestru stanu cywilnego z przed trzech lat, obwieszczający że tegoż dnia Fibi Trott, z zawodu dziewczyna w barze, zaślubiła Sergjusza Karola Łukasza Aleksandra Łobanowa, studenta uniwersytetu, żyjącego z własnych funduszy. Po przeczytaniu dokumentu zdał sobie sprawę, dlaczego kobieta ta upierała się przy swoim twierdzeniu. Był to oczywiście szantaż, gdyż musiała wiedzieć, że mąż jej już nie żył i dowiedzieć się, że on, Chesham, grał rolę księcia. To też Chesham przypuszczał, że sprytna kobieta zamierza skorzystać ze sytuacji.

Spojrzał na nią badawczo.

— Rozpoczęła pani bardzo niebezpieczną grę, Fibi — rzekł.

Uśmiechnęła się lekceważąco.

— Nie prowadź żadnej gry, mój drogi — odparła zatrącając podmiejskim akcentem. — Jestem porządną żoną, która powołana jest zabrać do domu swego męża i przypuszczałam, że wrócisz tam, najdroższy. Widziałam właśnie wspaniałą wystawę czerwonych gera-



— Powodzenia, młody człowieku — szepnął mu Marek Mann...

nji na Cherry Walk. A ty zawsze bardzo lubiłeś czerwony kolor, nieprawdaż? Dlatego też włożyłam moją czerwoną organdinową suknię. Miałam już jakieś przecucie, że cię spotkam.

Chesham wzruszył ramionami zrozpaczony. Ta zażywna osobka, ubrana w czerwoną suknię, była conajmniej rozbijająca.

— Co pani właściwie chce? — pytał gwałtownie.

— Właściwie nie, najdroższy — odparła zdziwiona, nie poza tobą. Chciałabym, abyś wrócił do domu. Wiem, że nie możesz się czuć dobrze w tak ogromnym domu, jak ten tutaj, a przytem ten hałas, który z zewnątrz słychać! Poza tem nie wyobrażam sobie, jakbym mogła żyć z kilkoma groszami w kieszeni.

— A więc to jednak jest szantaż! — krzyknął Chesham rozzłoszczony do ostatnich granic.

— Jakto szantaż? Jeżeli proszę męża o kilka szylingów aby zapłacić komorne i kilka wydatków, to ma być szantaż? — pytała również gwałtownym tonem Fibi.

Pulechną ręką odgarnęła sobie włosy z czoła.

— Przejrzałam już teraz pani taktikę. Lepiejby pani zrobiła, gdyby pani sobie stąd poszła i nie pokazywała się więcej. Nie jestem pani mężem i nie chcę nim być.

Mówiąc te słowa, Chesham darł w drobne kawałeczki dokument ślubu.

Fibi spojrzała zdziwiona, a potem przyjęła taki wyraz twarzy, jak gdyby miała przed sobą rozzłoszczone dziecko.

— No, trudno. Zawsze będziesz podlegał jakimś dziwaństwom. Całe szczęście tylko, że dokument ślubu, który podarłeś był tylko kopją. Oryginał znajduje się na Cherry Walk. — Starła ręką z twarzy resztkę pudru. — Nie zapominaj, najdroższy, że czekam zawsze na

ciebie. Zawsze przygotowuję takie świetne kotlety i pierogi na kolację, które przecież dawniej lubiłeś. No, niech ci się dobrze powodzi, zapytam się o ciebie za kilka dni.

Uśmiechając się na pożegnanie, dziwna ta osoba odplynęła podobna do jakiejś czerwonej łodzi w stronę drzwi.

— Dowidzenia — rzekł po namyśle Chesham.

Wypieki wystąpiły na twarzy młodej kobiety.

— Czy mnie nie pocałujesz na pożegnanie?

— Ach, niech pani sobie już idzie!

Drzwi się zamknęły, a Chesham w najwyższym stopniu rozdrażniony sięgnął po papierosa. Woń dobrego tytoniu uspokoiła go nieco.

ROZDZIAŁ XVIII.

Niebezpieczeństwo czyha w ambasadzie.

Przyjęcia w ambasadzie korawjańskiej na Park Lane były zawsze oczekiwane z zainteresowaniem. Jakkolwiek republika Korawji była pod względem rozległości niewielka, a wpływy jej polityczne mało ceniono w Londynie, to jednak ambasada tego państwa cieszyła się sławą urządzenia naj-

bardziej ożywionych i miłych przyjęć West Endu.

Tylko niewiele z tych osób, które były w pałacu na Park Lane, mogłyby szczegółowo określić położenie Korawji na mapie Europy. Wszyscy jednak znali dobrze miejsce, w którym w ambasadzie znajdował się bar, a różne gatunki szampana i wielka różnorodność cocktailów były nieraz tematem rozmów ludzi, znających się na dobrych trunkach.

Gdy Chesham zbliżał się do ambasad w wytwornej limuzynie, i stanął przed frontonem pałacu, poczuł na swem ramieniu dotknięcie ręki swego towarzysza.

— Powodzenia, młody człowieku — szepnął mu Marek Mann. — Uczyliem wszystko, co mogłem dla pana. — Ulokowałem w okolicy kilku ludzi, ale zdaje mi się jednak, że wszystko właściwie będzie zależeć od pana. Musimy oczywiście za wszelką cenę wydobyć Helenę z tego domu.

— Za wszelką cenę — potwierdził poważnie Chesham.

— Niech pan weźmie ten rewolwer — mówił dalej Szef, podając młodemu człowiekowi broń.

Chesham zaprzeczył ruchem głowy.

— Na nic się nie przyda. Na to są przygotowani. A ja chcę ich czemś zaskoczyć, czego się nie spodziewają.

— No, to niech pan idzie własną drogą. Ja w każdym razie będę na pana czekał w aucie.

Artur zastanowił się chwilę.

— Jeżeli do północy nie zjawię się z Heleną, może się pan spodziewać najgorszego.

Nie żegnając się z Szefem nawet spojrzeniem, wysiadł z auta, stąpając po czerwonym dywanie, który prowadził z trotuaru do oświetlonego rzesiście domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czy można usunąć piegi?

przetrzeć masę przez gęste sitko włosienne, dodawać — częściami — poprzednio przygotowany roztwór chininy i dalej ucierać, wlewając stopniowo potrzebną ilość steżonego roztworu brunatu słonecznego (Sonnenbraun Nr. 1734). Wkońcu zaperfumować krem ulubionymi olejkami.

O ile nie ma podrażnień, bo nie wszystkie skóry znoszą dobrze siarczan chininy, dawkę można zwiększyć nawet do 2 gramów.

Również pomocne mogą być ciemne pudry z dodatkiem wspomnianego siarczynu. Początkowo na większe pudełko pudru, który musi być przynajmniej barwy żółtej, ale lepiej brązowej (mulatre), dodawać 0,25 g siarczynu chininy, zwiększając stopniowo porcję do pół grama.

Na plaży jednak najmielszą ochroną przed zbyt niemi operowaniem promieni słonecznych będzie... maseczka z liści.

Z domowych środków rozjaśniających piegi dobrze działają kąpielce z ciepłego twarogu, rozcieńczony sok cytrynowy, sok ze świeżych poziomki, z ogórków. Również i pewne kolory, t. j. wszystkie odcienie barwy żółtej, czerwonej, mają własność odbijania promieni słonecznych i dlatego wskazanem byłoby faworyzować te barwy w swej garderobie. Może nie będzie to zbyt przykre, gdyż w tym roku kolor czerwony jest bardzo „en vogue”.

Nie zapominajmy także o parasolkach!

Ale nade wszystko nie martwmy się, jeżeli mimo tych wszystkich ostrożności zobaczymy w czasie upalnego lata w zwierciadle parę ciemniejszych punkcików na naszej twarzy. Tylko bowiem bardzo delikatna skórka może się nimi poszczycić...

Mgr. O. W.



Gwiazda wytwórni Metro Goldwyn, Elżbieta Allan, podczas kosmetycznych zabiegów.



to pytanie, które często się powtarza, gdy tylko ukażą się pierwsze promienie wiosennego słońca. Bo o tem wszyscy wiemy, że powstawanie piegów stoi w związku ze światłem, t. zn. że pod działaniem słońca skóra wytwarza barwik ochronny — pigment. Reakcja ta jest w większym lub mniejszym stopniu zależna od gatunku skóry. Najczęściej spotykamy piegi u osób z cieką, białą skórą o miedzianym odcieniu włosów, rzadziej u brunetów lub blondynów. Jeżeli zatem skóra ma już skłonności do nadmiernego wydzielania pigmentu, to nie może być mowy o jakimś radykalnem wyleczeniu się z piegów, gdyż wówczas musielibyśmy zniszczyć głęboko położone partje komórek, wytwarzających barwik. I rezultat byłby oplakany. Zamiast piegów twarz nasza byłaby porwana bliznami.

Piegi tworzą się na policzkach, na nosie, czole, ramionach, a nawet na rękach. Również kolor piegów bywa rozmaity, od jasno-żółtego do ciemno-brązowego.

Jak dotychczas usuwaliśmy piegi?

Środkami silnie działającymi, które złuszczały naskórek. Pomijając fakt, że złuszczenie nie prowadzi do celu, gdyż w krótkim czasie twarz pokrywa się świeżymi piegami, środki te, jako zawierające sole rtęciowe bizmutowe, są dla organizmu bardzo szkodliwe, zwłaszcza przy dłuższem używaniu. Poza tem ciągle złuszczenie wyniszcza naskórek i twarz prędko pokrywa się siecią drobnutkich zmarszczek.

Niespodziewanie jednak przychodzi nam chemia z pomocą. — Oto bowiem przekonano się, że nieznaczny dodatek siarczynu chininy do kremu, którym się naciera twarz w słoneczny dzień, przed wyjściem z domu, chroni skórę przed piegami, zwłaszcza o ile równocześnie ten krem jest zabarwiony środkami roślinnymi na kolor brązowy.

Taki krem z łatwością można przygotować we własnym zakresie. Uda się napewno. Żeby tylko nie zapóźno zabrać się do gotowania w każdym razie nim pokażą się pierwsze piegi.

Jeden gram chininy (chininum sulfuricum) rozpuścić w łyżce stolarowej wrzącej wody. Osobno, zlekką podgrzewając, stopić 4 g wosku japońskiego (cera japonica), 7,50 g olbrotu (cetaceum), dodać 30 g olejku ze słodkich migdałów, zdjąć z ognia, wymieszać doskonale i zostawić w spokoju, by tłuszcz mógł równo zastygnąć. Następnie



Czy zdaniem pana profesora

istnieje środek idealny do pielęgnacji włosów?

Lekarze stwierdzają: Delikatny i wonny krem do włosów „SORELA” w różowych tubach nie zawiera żadnych szkodliwych domieszek, mydła, alkaliu ługu, potasu, sody ani salmiaku. Wyciągi roślinne oraz z gruczołów zwierzęcych, zawarte w białej pianie kremu „SORELA” ożywiają zwiotczale włosy, wzmacniają słabe i umożliwiają im dalszy rozwój. „SORELA” wstrzymuje tworzenie się łupieżu.

Należy zatem używać do mycia i pielęgnacji włosów kremu „SORELA” (prawdziwy tylko w różowych tubach z czarnym nadrukiem).

Do nabycia we wszystkich aptekach, drogerjach perfumerjach oraz salonach fryzjerskich.

W razie gdyby gdzieś kremu „SORELA” nie było na składzie można zamówić za zaliczką poczt. pod adresem Laboratorium „Sorela” w Krakowie, Starowiślna 81.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka —
obliczone na 3—4 osoby.

TORT SAVARIN (na życzenie Czytelniczki). Wybić ciasto drożdżowe z 15 dkg mąki, 7 dkg masła, 3 jaj, 1 dkg drożdży, około pół szklanki letniego mleka, troszkę cukru oraz soli. Ciasto należy wyrosnąć, przerobić łyżką powtórnie, nałożyć do formy wieńcowej (okrągłej, płaskiej, z otworem w środku) postawić w ciepłe na godzinę, potem upiec całkiem jasno (przykryć natuszczonym papierem). Po upieczeniu wyrzucić na płytkę i poleać następującym syropem: pół szklanki wody, 11 dkg cukru, sok i skórkę (którą się po ugotowaniu wyjmuje) z 1 pomarańczy i 1 cytryny, kieliszek malagi i pół kieliszka dobrego rumu zagotować, na gorąco poleać ciasto. Pusty środek nakłada się bitą śmietaną lub sałatką z surowych południowych owoców, skropioną likierem maraschine.

OMLETY Z POZOSTAŁYCH BIAŁEK. Trzy czterstwe bułeczki otrzeć z wierzchniej skórki i zamoczyć w pół litrze mleka, gdy rozmiękną przetrzeć je przez sito, dodać 3 żółtka i 3 łyżeczki kawowe mąki, rozkłucie dobrze, wkońcu wnieść pianę z 6—7 białek. Z masy tej wysmażyć na niedługiej patelni omlety, z obu stron osmażane. Z powyższej ilości powinno być 10—12 omletów, które się podaje albo posypane tylko parmezanem, lub też napełniane siekaną szynką, kiełbasą lub farszem mięsny. Dodatek: zielona sałata w śmietanie. Te same omlety przełożone marmeladą lub polane sokiem, mogą stanowić dobrą a niedrogą leguminę.

KREM Z LASKOWYCH ORZECHÓW. 25 dkg orzechów laskowych praży się na ogniu, następnie wysypuje na ściereczkę i ociera z łupki. Wyspane ponownie na patelnię, posypuje się 6 dkg cukru i praży na ogniu, mieszając, na złoty kolor. Utłuczone w młynku, zalewa się szklanką słodkiej śmietanki, dodaje 25 dkg cukru, utartego z 6 żółtkami i łyżeczką mąki i ubija na ogniu na gęsty krem. Wkońcu dodaje się kieliszek maraschine, miesza, napełnia małe filiżanki, ustawia je w dużym rondlu z trochę wody, przykryte, wstawia się do gorącej rury, gdzie się krem powinien po 30 minutach ściąć. Gotowane się nie śmie, bo się zepsuje. Zastudzony krem ubiera się bitą śmietanką i smażoną wiśnią lub truskawką.

LEGUMINA Z SUSZONYCH JABŁEK. Ogniotrwała miska wyklada się ugotowanymi w cukrze jabłkami, na każdy krążek daje się troszkę galaretki porzeczkowej, pokrywa poniżej podanym ciastem, wstawia na pół godziny do pieca i szybko wydaje w naczyniu, w którym się piekło. Ciasto: pół szklanki mleka z łyżką masła zagotować, wyspać 7 dkg mąki i ubijać na ogniu aż od rondla odstaje. Osobno utrzeć 3 żółtka z 6 dkg cukru i 3 dkg masła, dodać do ostudzonego w międzyczasie ciasta wraz z pianą z 3 białek. Masę nałożoną na jabłka posypać grubym cukrem z migdałami i upiec.

STRUDEL Z GRYSIKU. W zwykły sposób wyrabia się ciasto strudlowe z 20 dkg mąki, osolonej letniej wody i grudki masła; odstawia na pół godziny przykryte ciepłym rondelkiem. Nadzianka: 10 dkg masła utrzeć z 4 żółtkami, dodać szklankę kwaśnej śmietany, 10 dkg grysiku pszennego, soli i pianę z 4 białek. Nadziany i zwinięty strudel wkłada się do posmarowanej masłem serwety, zawiązuje, i gotuje 15—20 minut w słonej wodzie. Wydany na półmisek kładzie się w plastry i polewa masłem z rumianą bułeczką.

ROŻKI SEROWE. 10 dkg masła, 10 dkg tartego sera, 10 dkg mąki i szczyptę soli, wyrobić ciasto, pozostawić w chłodzie parę godzin, potem wywałkować, krajać na kwadraty, nadziewać masą orzechową, zwiąć w różki, smarować białkiem i upiec. Gorące otarzać w cukrze waniliowym.

MOSTEK CIEŁĘCY PO WŁOSKU. 20 dkg makaronu włoskiego obgotować w mleku, tak, aby tylko zmięknę. łyżkę masła, 2 żółtka i 1 jajko, utrzeć, zmieszać z wystygłym makaronem, osolić, dodać dwie łyżki siekanej wędronki lub szynki, 2 łyżki tartej bułki, wkońcu pianę z 2 białek. Masą tą nadziewa się 1½—2 kilogramowy mostek cielecy, zaszywa i piecze na maśle przy częstym polewaniu. Upieczony posypuje się suto bułeczką, polewa sosem z pod pieczeni i piecze jeszcze 10 minut. Przed pokrajaniem musi pieczeń przestygnąć, inaczej źle się będzie krajać, potem wstawia się z półniskiem do ogrzania.

LEGUMINA Z POMARAŃCZ. Pomarańczę przekroić, ostrożnie wyjąć miąższ, zmieszać z drobno krajanymi bananami, figami (półgotowanymi) i siekanymi orzechami. Cukier i łyżka rumu do smaku. Owoce nakładać do wydrążonych łupek pomarańczy i pokryć bitą śmietaną. Se. Ko.

STATKI GOSPODARSKIE



Przygotowując ciasto do pieczenia, przesiewamy najpierw mąkę przez gęste sito, odważamy potrzebną jej ilość, dodajemy jaja, mleko i t. d., a często i skórkę cytrynową, ocleraną na tarle (jak na zdjęciu). Zarabiamy ciasto długim nożem na stolnicy i walkujemy płacuszki i t. p. Czystość naczyń i biały fartuszek lub chałat osoby gotującej, to niedozwolone warunki higieniczne nowoczesnej kuchni.

7 + DNI + DOBREJ + GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

| Święta rzym.-kat. i tyd. | Tydzień 21 | MAJ | Data 31 |
|--|------------|---|---------|
| Niedziela 19 Iwona, Piotra C. 16 lijar | | Zupa szparagowa lub szparagi z rumianem masłem w miejsce zupy. Kuroczęta w śmietanie z kluseczkami. Budyn migdałowy z szodonom. <u>Kolacja:</u> Wędliny z sałatką mieszaną. | |
| Poniedziałek 20 Bernarda 17 lijar | | Rosół z makaronem. Faszerowana kapusta. Rostbeuf po angielsku z smażonymi ziemniaczkami i sałatką zieloną. Legumina z suszonych jabłek z galaretką porzeczkową. <u>Kolacja:</u> Kiełbasa w cieście z szpinakiem. | |
| Wtorek 21 Helena Kr. 18 li. Lag. Boom. | | Zupa koprowa na śmietanie. Strudel z gryssiku. Wątróbka po wiedeńsku z sałatką. Rożki serowe. <u>Kolacja:</u> Jaja w sosie pomidorowym z makaronem. | |
| Sroda 22 Julii p. Emilii 19 lijar | | Zupa lub barszcz na wędzonce. Knedel bułkowy z sosem śmietanowym. Ozór wołowy z sałatką i ziemniakami. Omlet z konfiturą. <u>Kolacja:</u> Zimny ozór z sosem chrzanowo-jajecznym. | |
| Czwartek 23 Dezyderyusza 20 lijar | | Zupa z młodych jarzynek z płatkami. Cielecy mostek po włosku z sałatką. Legumina z pomarańcz. <u>Kolacja:</u> Parówki w sosie pomidorowym z ryżem. | |
| Piatek 24 Anny wd. 21 lijar | | Zamiast zupy kalafior w białym sosie. Strudel ziemniaczany. Karp z pieczarkami. Rulada orzechowa z bitą śmietaną. <u>Kolacja:</u> Kasza krakowska na grzybach - kefir. | |
| Sobota 25 Iwona p. lijar | | Zupa szpinakowa z grzankami. Płatki z kapustą. Gołąbki pieczone z ryżem. Legumina z bułek. <u>Kolacja:</u> Sardynki po węgiersku na bułce. | |

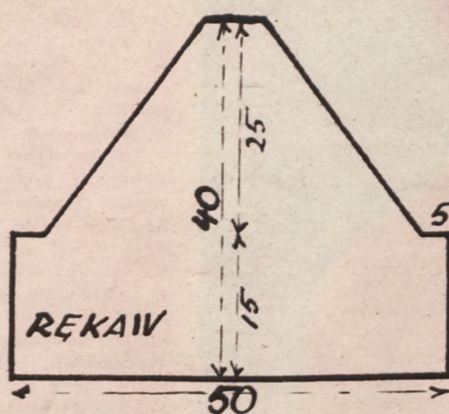
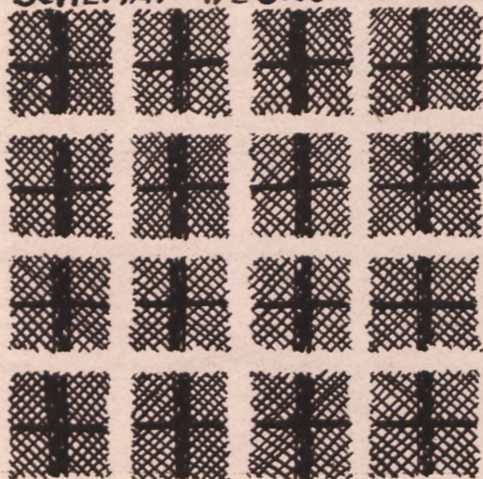


**Kawa słodowa
Kneippa -**

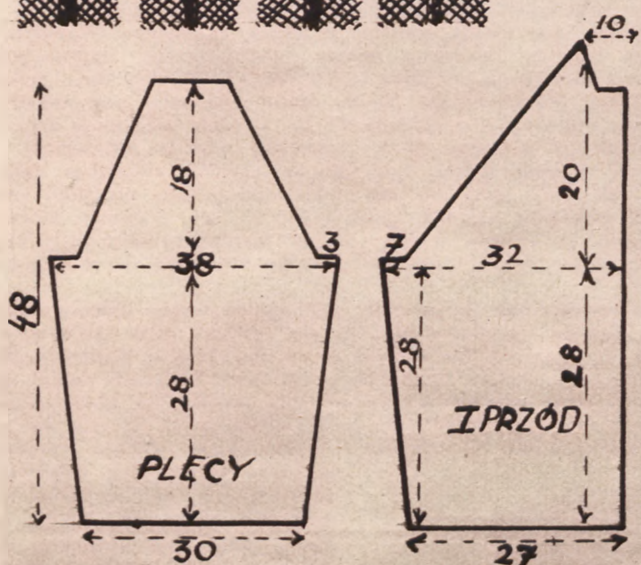
dla dziecka najzdrowszy napój!

ZROBIĘ TO SAMA

SCHEMAT WZORU.



SCHEMAT KROJU



BLUZECZKA LNIANA W KRATĘ

Wielkość II. (Na 92 cm. obwodu klatki piersiowej).

Wyhaftowaniu wszystkich części zeszywamy je a mianowicie łączymy boki przodu i pleców, poczem wszywamy raglanowe rękawy pomiędzy przodu i plecy. Brzegi wycięcia przy szyi obrabiamy rzędem półsłupków szarą włóczką. Teraz wykonujemy pasek i obwódki przy rękawach. Zaczynamy każdą obwódkę na 2 oczka i przerabiamy ściąganiem ryżowym, dodając po 1 oczku na początku i na końcu każdego rzędu, dopóki pasek nie będzie odpowiednio szeroki. Szerokość paska na dół sweterka ma wynosić 7 cm., szerokość obwódek na rękawy wynosi po 4 cm. Gdy wszystkie paski mają dostateczną długość zakończamy je, ujmując po 1 oczku na początku i na końcu każdego rzędu. Pasek na dół sweterka przyszywamy, marszcząc nieco sweterek (szczególniej z boków). Paski na rękawy zakończamy w podobny sposób, gdy mają po 28 cm. długości. Przyszywamy je na dole rękawów w ten sposób, aby środek paska wypadał na szwie rękawa. Na wierzchu rękawa pozostanie w ten sposób wolna przestrzeń, którą obrabiamy rzędem szarych półsłupków. Nabieramy teraz na druty wycięcie na szyi i przerabiamy obwódkę szarą włóczką ściąganiem ryżowym na wysokość 5 cm., dodając co 6 rzędów po 1 oczku co 10 oczek. Po ukończeniu obwódki zakończamy ją luźno, wymijamy naczelną i przymocowujemy niewidzialnymi ściągami. Obwódkę tę można zastąpić białym, jedwabnym kołnierzykiem. Teraz obrabiamy przednią prawy brzeg sweterka trzema rzędami półsłupków, przyczem w drugim rzędzie wrabiamy 4 петельki, zastępując na każdą петельkę po 5 półsłupków oczkami powietrznymi. Jako zapięcie służą czerwono-białe guziki. Nakoniec szydelkujemy z potrójnej czerwonej wlny sznurki łańcuszkowe, a to 2 długości po 20 cm., oraz 6 po 15 cm. Sznurki te przyszywamy do końców obwódek na rękawach, przy wycięciu na szyi oraz (20-to cm) na końcu i poniżej ostatniego guzika na pasku. Sznurki te wiążemy w kokardy, jak widać na rysunku.

Materiał: 18 dk włóczki lnianej „Trójkąta w kole”; „Mimoza” w kolorze szarym, oraz po 3 dk wlny „Elektra” w kolorze czerwonym i białym. Druty nr. 2.5. Przedewszystkiem wykonujemy z papieru formę wg. podanego szablonu, oznaczonego wymiarami odpowiednimi dla normalnie zbudowanej osoby o obwodzie klatki piersiowej wynoszącej 92 cm. Następnie wg. podanego poniżej ścięgu wykonujemy próbkę na 10, lub 20 oczek i obliczamy na jej podstawie na ile oczek należy zacząć poszczególne części bluzki.

Ściąg szkocki w kratę: Przerabiamy najpierw w pasy poprzeczne, pasy pionowe wykonujemy po ukończeniu roboty na drutach. Przerabiamy 10 rzędów po prawej stronie wprost, po lewej nawywrót szarą włóczką, następnie czerwoną wlną 1 rząd po prawej stronie wprost, 1 rząd po prawej stronie nawywrót, 10 rzędów szarą włóczką po prawej stronie wprost, po lewej nawywrót, następnie białą wlną przerabiamy 1 rząd po prawej stronie wprost, 1 po prawej stronie nawywrót i powtarzamy od początku.

Ściąg ryżowy: w pierwszym rzędzie przerabiamy naprzemian 1 oczko wprost, 1 nawywrót. W dalszych rzędach przedstawiamy wzór, aby oczka prawe wypadały na lewych a lewe na prawych.

Zaczynamy robotę od pleców, odpowiednią ilość oczek, szarą włóczką i przerabiamy ściąganiem w poprzeczne pasy, jak opisano

powyżej. Co 5-ty rząd dodajemy po 1 oczku na początku i na końcu rzędu. Na wysokości początku wycięcia na raglanowe rękawy zakończamy po 15 oczek z obu brzegów roboty, i przerabiamy dalej, ujmując po 1 oczku na początku każdego rzędu. Na wysokości szyi zakończamy pozostałe oczka.

Przodu zaczynamy tak, jak i plecy od dołu i przerabiamy jak opisano powyżej, dodając z bocznego brzegu, co 5 rzędów, jak w plecach. Na wysokości wycięcia na rękawy zakończamy odpowiednią ilość oczek (wg. kroju) i przerabiamy dalej ujmując z bocznego brzegu na wycięcie raglanowe, jak w plecach. Na początku wycięcia przy szyi zakończamy z przedniego przodu 20 oczek, poczem aż do ukończenia przodu ujmujemy po 1 oczku na początku i na końcu rzędów na brzegu wycięcia przy szyi. Rękawy zaczynamy również od dołu, odpowiednią ilością szarych oczek i przerabiamy ściąganiem w pasy najpierw równo (bez dodawania) potem zakończamy po 20 oczek z obu brzegów roboty i przerabiamy dalej, ujmując po 1 oczku na początku rzędów. Po osiągnięciu należytej wysokości zakończamy pozostałe oczka. Gotowe części haftujemy teraz w pionowe pasy kraty ściąganiem trykotowym, albo zwykłym łańcuszkiem. Haftujemy co 10 oczek tła naprzemian po 1 rzędzie czerwonym i białym, przyczem haftując czerwony pionowy pas omijamy stale poprzeczne białe pasy. Patrz schematyczny rysunek wzoru. Po





Sukienka popołudniowa z jasnego peau d'ange.

Popularne powiedzonko mówi, że w życiu należy przede wszystkim niczem się nie przejmować, uważać na zakrętach i nosić wygodne obuwie! Chociaż ujęcie filozofji życiowej w tej formie jest nieco... proste, to jednak tkwi w niem, pomimo wszystko, swoisty, zdrowy rozum. Bo rzeczywiście, jak można wygodnie przejść przez życie... mając niewygodne buty?!

JAK LEKKO PRZEJŚĆ PRZEZ ŻYCIE!

Jeżeli chodzi o kobiety, to można stwierdzić z całą pewnością, że im piękniejsze noszą pantofelki, tem lżej i lepiej stąpają po tej ziemi, a im wyższe są obcasy... tem czują się pewniejsze siebie... Wogóle możnaby na ten temat napisać mały traktacik, podnosząc tak stosunkowo skromny przedmiot, jakim są buty do pewnego rodzaju symbolu, wyciągając z różnych obserwacji w odniesieniu do obuwia, psychologiczne konsekwencje.

Nie będziemy się zapuszczać w historję obuwia, która jest ciekawa dla kogoś, kto śledzi rozwój mody i poszczególne jej odmiany. Wspomnimy tylko, że w paryskim Musée Cluny istnieje największy na świecie zbiór obuwia wszelkich czasów. Przechodząc przed szeregiem witryn, zawierających różne sandały, pantofelki, trzewiki, buty z cholewami itd., ogarnia widza szczerze zdziwienie, gdyż przekonuje się, że wszystkie możliwe odmiany w tej dziedzinie były już kiedyś aktualne i że fantazja ludzka jest znacznie bogatsza niżby się zdawało. Zaczawszy od długich, spiczastych butów średniowiecza, robionych bądź to ze skóry, bądź też z materiałów, a skończywszy na ciężkich, wysoce charakterystycznych butach pocztyljonów XVIII wieku, przez ręce szweców przewinęły się najrozmaitsze typy trzewików.

W Polsce, jak wiemy, choćby z „Pana Tadeusza“, Warszawa oddawna cieszyła się sławą miasta, posiadającego najlepszych szweców i zachowuje tę palmę pierwszeństwa do dziś dnia, tylko jeżeli Zosia, przygotowując się do ślubu wkładała „warszawskie trzewiczki atlasowe“, to imienniczki jej w roku 1935 mają znacznie rozleglejsze potrzeby, no i ... znacznie większe wymagania.

Istotnie! Istnieje dzisiaj tyle odmian obuwia, zwłaszcza damskiego, tak ściśle łączy się ono z daną porą dnia, powstało tyle nowych gatunków obuwia sportowego, że bez przesady można powiedzieć, iż kobieta współczesna w każdej sytuacji życiowej i każdej porze dnia i nocy może nóżkę swą obuwać w inny pantofelek.

Moda współczesna stawia duże wymagania wobec obuwia damskiego, żądając przede wszystkim, aby piękna pani ściśle uważała na scharmonizowanie obuwia ze swoim strojem, dostosowując do nich nawet torebki. Pantofelki o wysokich obcasach modne są obecnie jedynie wieczorem, podczas gdy popołudniu noszą panie obuwie z obcasami wysokości 2—3 centymetrów. Są one znacznie praktyczniejsze od tamtych i wygodniejsze, a tego wymaga

ruchliwy tryb życia współczesnej kobiety. Do tych celów też najlepiej nadają się buciki ze skóry cielejcej lub świńskiej, albo z zamszu. Metalowe klamry dodają bucikowi oryginalności i swoistego piękna.

W zakresie wygodnego obuwia istnieje bardzo wiele odmian, z których niejedna odznacza się przewiewnością, posiadając wycięcia po bokach, co pozwala na zdrową „wentylację“. Na letnisku, nad morzem nosi się oczywiście buciki płócienne białe, lub też skórzane z wkładkami płóciennymi. Wogóle damskie buciki odznaczają się obecnie wielką różnorodnością materiałów, wśród których



Oryginalne pantofelki Marleny Dietrich.



Atlasowy pantofelek do wieczorowej sukni.



Skórkowe półbuciki z lakierowanymi obkładami.



Płócienne buciki z obkładami z żółtej skóry.



Pantofelki do jasnych sukienek letnich.

Na prawo od góry ku dołowi: Sportowe półbuciki, biało-czarne, sznurowane. — Białe półbuciki, sznurowane, w perforowany deseń. — Zamszowe pantofelki z lakierowanymi obkładkami. — Pantofelki z granatowej skórki, perforowane na białym tle. — Pantofelki lakierowe na francuskim obcasie.



Zamszowe pantofelki do ciemnego kostjumu.

nie brak drogich skór wężowych, jaszczurczych i krokodylich do wytwornych kostjumów i sukien wizytowych.

Ostatnią nowością wiosenną są miniaturowe sandałki à la Gandhi, lekkie, wygodne i na niższym obcasie.

Współczesne panie nie tylko chcą być dobrze ubrane i obute, ale są przedewszystkiem także i praktyczne, to też dbają o swe obuwie więcej, niż poprzednio, ucząc się sztuki konserwowania go w należyty sposób.

Zasadnicze i najbardziej skuteczne obchodzenie się z obuwem, da się streścić w następujących wskazówkach: zdjawszy obuwie z nóg, należy je starannie oczyścić z kurzu, podeszwę wysmarować olejem lnianym, wierzch zaś cieniutko pociągnąć pastą lub kremem i wytrzeć specjalnie na ten cel przeznaczoną flanelką, aż do połysku. Raz na parę miesięcy zmyć pastę letnią wodą, wierzch nasmarować olejem lnianym i pozostawić tak buciki trzy do czterech dni, poczem znów natrzeć pastą, aż do połysku. Przemoczone obuwie należy naciągnąć na prawidła, w braku ich twardo wypchać papierem. Nie należy ich jednak suszyć gwałtownie, przez stawianie ich obok pieca itd.

Wszelkie obuwie należy przechowywać w suchym miejscu. Gdyby pleśniało, nasmarować olejkami terpentynowym z dodatkiem kamfory, nie używać jednak wazeliny, bo to powoduje pęknięcie skóry. Wszystkie te wskazówki odnoszą się do trzewików męskich, dziecięcych i grubych damskich. Buciki ze skór fantastycznych wymagają innych starań. Żółte trzewiki myje się co siedem do dziesięciu dni watą, zmoczoną w benzynie lub w mleku zmieszane z terpentyną (dwie łyżeczki nietłustego mleka i jedna łyżeczka terpentyny). Gdy wyschną pociąga się je żółtą pa-

stą i czyści flanelką. Pantofli płóciennych nie należy też smarować kredą, lecz wystarczy umyć wodą.

Buciki skórkowe lakierowane najlepiej czyszczą się acetonem. Aceton trzymać zdala od ognia i przy czyszczeniu nie palić np. papierosa.

A teraz przepis na uodpornienie obuwia przed zamakaniem. Otóż należy wlać pół litra oleju lnianego do kamiennego garnka, dodać 6 dkg łoju baraniego, 2 dkg wosku i 16 dkg żywicy. Wszystko razem topi się na płycie kuchennej, ustawicznie mieszając. Gdy się rozpuści i wymiesza, smaruje się wówczas całe czyste, suche obuwie przy pomocy pendzla. Należy smarować wierzch i podeszwy kilkakrotnie.

Ważną rzeczą jest używanie odpowiednich kremów.

Żółty krem na obuwie sporządza się następująco: 12 dkg żółtego wosku (na białą pastę — białego) topi się w emaljowanym garnuszku na gorącej płycie — nie na ogniu. Gdy wosk się roztopi, odstawić, utrzeć łyżką na pianę, a gdy ostygnie, dodać 7 dkg benzyny i 4 dkg terpentyny, wszystko razem ucierając. Krem złożyć do słoiczków.

Czarny krem: 10—11 sztuk czarnego wosku topi się, odstawia i bardzo ostrożnie do gorącego jeszcze wosku wlewa się, wciąż mieszając, 10—15 dkg terpentyny. Wymieszaną masę, jeszcze ciepłą, wlewa się do słoiczków.

Te sposoby robienia w domu past do obuwia przydadzą się bardzo naszym paniom.

Pani Paula.



Dwuczęściowy komplet, podbity georgetta. Prześlizgane manszety.

Lycie

towarzyskie i artystyczne



Fanny Gordon, kompozytorka „Jachtu miłości”.

SUKCES POLSKIEJ OPERETKI W BRUKSELI.

Do największych sensacyj teatralnych w Brukseli należą obecnie występy naszej rodaczki p. Ireny Popielskiej, która ukazuje się publiczności belgijskiej w pięknej operetce „New York — Baby”, znanej w Polsce p. t. „Jacht miłości”, kompozycji Fanny Gordon. Zarówno treść operetki, dająca okazję do licznych występów tanecznych, jak też osobiste walory p. Popielskiej, rozporządzającej pięknym głosem i urodą, będącej również świetną tancerką, zyskały imprezie wielkie powodzenie i uznanie.

P. Popielska uda się po skończeniu swych występów w Brukseli na dłuższe tournée, podczas którego odwiedzi również stolicę Holandji, Hagę; („Jacht miłości” został już przetłumaczony na język holenderski). Najwięcej jednak rodaczka nasza spodziewa się po wizycie swej w Londynie i w Paryżu, gdzie stawa jej niewątpliwie nabierze jeszcze znakomitszych blasków.



Irena Popielska.

LAJKONIK W BERLINIE.

Poniżej:

P. Helena Majewska, uczennica znakomitej profesorki śpiewu p. Marek-Onyszkiewiczowej z Krakowa, wyróżniona została dyplomem honorowym na wokalnym konkursie Polskiego Radja w Poznaniu.

Fot. „As”.



Poniżej:

Młody uczonec p. Jerzy Młodziejowski, syn wybitnej artystki teatrów poznańskich, znanej pod pseudonimem Wojciechowskiej, otrzymał ostatnio dyplom doktorski na Uniwersytecie poznańskim na podstawie pracy z dziedziny gluceologii Tatr.

Fot. „As”.



Balet Parnella zawitał z kolei do stolicy Niemiec, gdzie święci prawdziwe triumfy. — Na zdjęciu: „Lajkonik” (Das Pferdchen von Zwierzyńiec) na deskach berlińskiego Wintergarten. Zwraca uwagę dekoracja obrazu, przedstawiająca fragment Krakowa z widokiem na Barbakan i kościół Panny Marii.



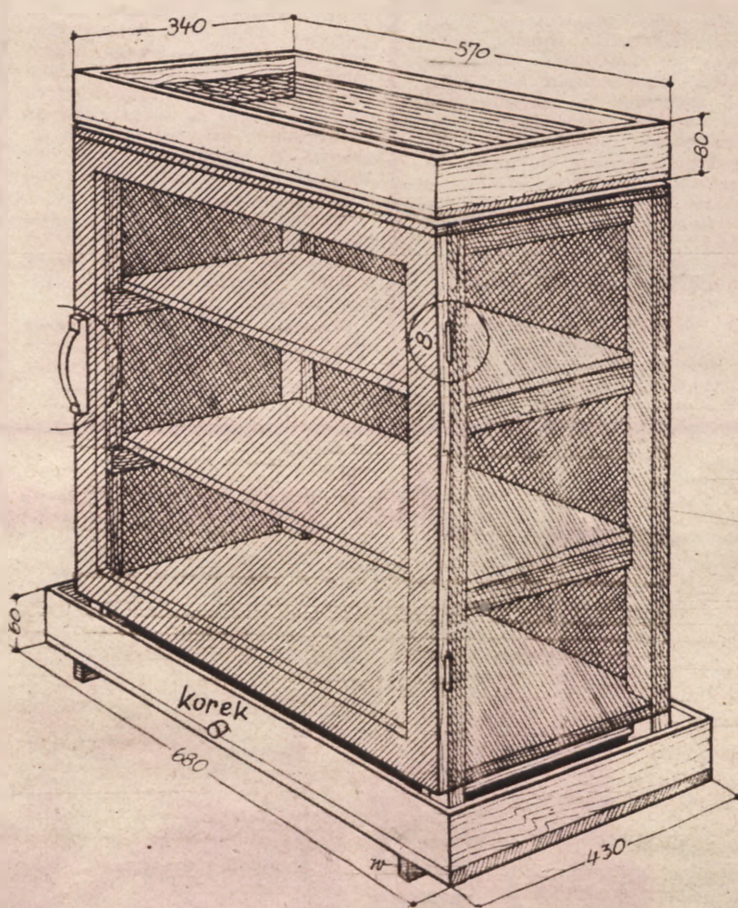
JAK

zbudować lodownię, która chłodzi bez lodu?

Do przechowywania środków żywności w ciepłej porze roku konieczna jest lodownia. Wiadomo bowiem, że przeważna ich część ulega w wyższej temperaturze szybkiemu zepsuciu, natomiast w chłodzie można ją przechowywać przez dłuższy czas. Do użytku domowego służą bądźto lodownie, w których źródłem zimna jest lód naturalny lub sztuczny, bądź też nowoczesne aparaty chłodnicze, które pracują bez użycia lodu i tylko na podstawie rozprężania się gazu np. amoniaku lub dwutlenku siarki. Ale aparatom tym trzeba znowu dostarczać energii cieplnej w różnej formie czy to przez bezpośrednie ogrzewanie płomieniem gazowym lub naftowym, bądź też grzejnikiem elektrycznym. Wszystkie wymienione dotychczas lodownie wymagają zatem, prócz jednorazowego wydatku na sam aparat chłodniczy, jeszcze stałych wydatków dla utrzymania lodowni w ruchu. Poniżej podany opis lodowni, którą stosunkowo łatwo można sobie samemu zbudować, a która nie wymaga żadnych kosztów utrzymania i stosunkowo bardzo mało obsługi. Działanie tej lodowni opiera się na znanej własności cieczy, która

parując, odbiera ciepło swemu otoczeniu, czyli je chłodzi, tem intensywniej, im więcej ciepła wyparowuje. Intensywność parowania możemy zwiększyć przez powiększenie powierzchni cieczy parującej. Wzrasta ona także wówczas, gdy powietrze dookoła jest cieplejsze i suche oraz gdy powietrze to szybko się zmienia.

Lodownia nasza, to właściwie mała szafka drewniana o trzech półeczkach. Ściany zewnętrzne i drzwi tej szafki sporządzone są z grubego workowego płótna. Płótno to jest stale zwilżane wodą, ściekającą ze zbiornika, umieszczonego na szafce. Woda ścieka przez drobne otworki, znajdujące się u dołu, w pobliżu dna tego zbiornika. Ścieka ona kroplami bardzo wolno, gdyż w otworkach tych znajdują się knociki bawełniane, nasiąkające wodą. — Przez użycie grubszego lub cieńszego knocika, możemy regulować ilość wody, kapiącej w pewnym czasie na płó-



Oto, jak wygląda „lodownia”, którą możecie sobie zbudować (dokładny opis w artykule).

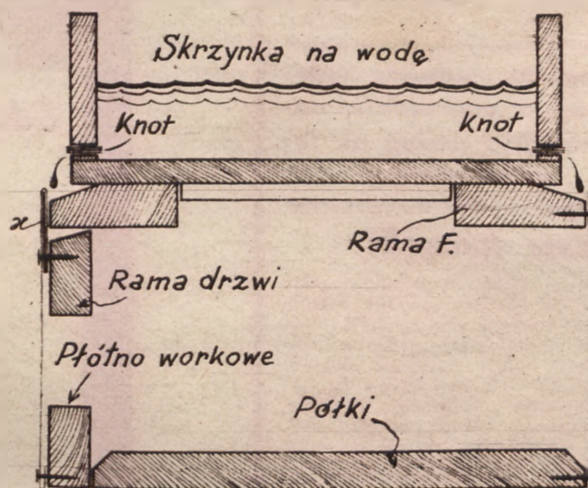
cienne ściany szafki. Powinno zawsze tyle wody ściekać, aby wszystkie ściany płócienne szafki były stale wilgotne, aby jednak na dole woda z płótna już nie ściekała. Wskutek rozdzielania się wody na wielkiej powierzchni włókien płótna, woda ta intensywnie paruje. Powinno zatem ściekać tylko tyle z górnego zbiornika, ile ściany płócienne potrafią wyparować. Dzięki temu intensywnemu parowaniu, panuje właśnie wewnątrz szafki silny chłód, nawet wówczas, gdy na dworze jest bardzo gorąco.

Ponieważ jednak ze ścian płóciennych szafki mogłaby woda ściekać nadmiernie, wbrew wyżej podanym środkom zaradczym, przeto na spodzie szafki znajduje się również zbiorniczek, do którego woda ta może sypać. Szafka ta stoi cała na tym zbiorniczku. Podajemy kilka rysunków, objaśniających budowę tej szafki. Szafkę można sobie sporządzić sa-

memu, lub dać zrobić przez stolarza. Najlepiej zrobić z drzewa sosnowego i po wykonaniu pomalować najpierw farbą podkładową, a następnie dwa razy lakierem emalowanym, wodoodpornym, takim, jakiego używa się do lakierowania łodzi lub kajaków.

Naszą lodownię umieszczamy najlepiej w miejscu przewiewnym, np. na balkonie po stronie północnej. Można ją sobie urządzić w dowolnej wielkości. Przy montowaniu tej lodowni ważnym jest opinanie płótnem trzech ścian bocznych i ram drzwiowych. Górną krawędź płótna zakładamy na szerokość 20 mm, przybijamy w ten sposób do ram, aby część tej zakładki w szerokości 5 mm wystawała jeszcze ponad ramy. Widoczne to jest z załączonego rysunku. Widać także na rysunku, że górna rama szafki, na której znajduje się zbiornik, jest przystrojona ukośnie na zewnątrz, tak, aby woda, kapiąca z otworów w zbiorniku, ściekała po pochyłości ku zakładce płóciennej, przybitej gwoździkami do tejże ramy.

Budowa takiej szafki jest niesłychanie prosta i polega tylko



Schemat budowy „lodowni”, chłodzonej wodą.

na zestawieniu szkieletu normalnej szafy z belek i listew. W porównaniu ze zwyczajną szafą, brak tylko wszystkich 4 ścian bocznych, a krawędzie opięte są płótnem, jak powiedzieliśmy wyżej. Zasada działania tej lodowni bez lodu jest zupełnie identyczna z tą, na której opiera się budowa chłodnic na masło, w których również treść naczynia chłodzona jest wskutek parowania wody poprzez pory glinianego naczynia.

A.

NA SCENIE.

Na poznanie i zasadniczo dyskusję zasługuje przedewszystkiem ciekawy reportaż sceniczny Kazimierza Gołdy p. t. „Rekrut”, grany niedawno w Katowicach, a ostatnio wystawiony w teatrze „Comœdia” w Warszawie. Sztuka ta zajmuje się problemem współczesnych zagadnień pedagogicznych i odzwierciedla stosunki w dzisiejszej szkole. Przed Gołdą uczynił to w pamiętnej „Sztubie” Kazimierz Leczycki. „Sztuba” była bardziej artystycznie skomponowana od „Rekrutów” — „Rekruci” jednak bardziej wstrząsają widownią, gdyż życie szkoły przedstawione jest w nich w bardziej jaskrawych barwach i w silnych oskarżeniach. Niewątpliwie oskarżenia tej sztuki, choć jak wyznaje autor, w całości zaczerpnięte z życia, są mocno przerysowane. Niemniej jednak problem, przez nią poruszony, zasługuje na lepszą uwagę.

Teatr „Comœdia” wystawił „Rekrutów” w bardzo pomysłowej i scenicznej i dekoracjach Poredy.

Wystawienie przez Teatr Miejski w Wilnie sztuki Artura Górskiego „O zmartwychwstaniu” jest ważnym wydarzeniem literackim, a równocześnie sukcesem artystycznym teatru, reżyserów przedstawienia — szymańskiej i Szpakiewicza, oraz młodego artysty Stefana Śródki. W Wilnie na repertuarze jest równocześnie Molierowski „Chory z urodzenia”, który wciąż cieszy się niesłabnącym powodzeniem.

W Bydgoszczy sukces zdobył sobie „Powrót posła” Niemcewicza z bardzo dobrymi Chmurkowską i Stan. Dąbrowskim. W Poznaniu zaś bardzo starannie w „Teatrze Polskim” wystawiono „Cyda” Corneille'a — Wyspiańskiego.

W Krakowie Teatr Miejski wprowadził do repertuaru „Trąbkę pani Generalowej”, komedię Bus-Fekete'ego, gdzie zasłużony sukces artystyczny odniosła młodzieżka Z. Dywińska. (swb.)

Program radiowy ogłoszony w poprzednim numerze jest ważny na tydzień bieżący.

Nowe książki.

Wśród polskich książek, jakie pojawiły się na schyłku sezonu wydawniczego, przed wielką hatalją wydawniczą jesienną, wymienić należy ciekawą powieść Wacława Czośnowskiego p. t.: „Krwawnik” (Gebethner i Wolff, Warszawa). Autor książki pracuje od szeregu lat w M. S. Z. i znany jest polskim dziennikarom ze swej ruchliwości i uciążliwości wobec stanu dziennikarskiego. Obecnie zajmuje stanowisko konsula polskiego w Lyonie. Powieść Wacława Czośnowskiego kreśli przed oczyma czytelnika dzieje młodzieńców, pochodzących ze zrujnowanej rodziny kresowej. Odznacza się ona barwnością obrazów i kulturą stylistyczną.

Aktualną ze względu na uroczystości króla Jerzego V. jest

TO WARTO POZNAĆ...

książka głośnego francuskiego pisarza Andrzeja Maurois o „Edwardzie VII”, gdyż pozwala nam ujrzeć wizerunek wielkiego poprzednika obecnego monarchy i przedstawia atmosferę, w jakiej wychował się obecny władca Anglii. Książka francuskiego autora p. t.: „Edward VII i Jego czasy” pojawiła się w polskim przekładzie Heleny Hellerówny w nakładzie Udziałowej Spółki Wydawniczej w Krakowie. Gustowne to wydanie znajdzie napewno czytelników.

Szeregownie piękna szata zewnętrzna odznacza się świeżo ogłoszona w polskim przekładzie powieść duńskiego autora Nissa Petersena p. t.: „Ullica sandałników”. Książka ta, która zyskała sobie olbrzymie uznanie zagranicą i została przetłumaczona na wiele języków, jest wspaniałym obrazem Rzymu za panowania Marka Aureliusza i należy do najciekawszych prób powieści historycznej, jakie oglądaliśmy

po wojnie. Przekładu dokonał Zbigniew Grabowski, książka wyszła nakładem J. Przeworskiego w Warszawie. (ε)

Nowe płyty.

„Is That Religion?” — To utwór Pinkarda, o którym pisaliśmy już swego czasu. Obecnie fox ten ukazał się na płycie Brunswick A 9651 w wykonaniu orkiestry Cabe Collovaya. Śpiewa refren Collovay wraz ze swym chórem murzyńskim. Kompozycja ta w interpretacji Collovaya staje się dziką i szaloną, jak czarny ład i jak on świeża.

Bardzo melodyjny fox p. t. „Old Mammy Mine” (Jimmy Kennedy) znajdujemy na płycie Odeon 253836. Foxtrott ten gra londyńska orkiestra Harry Roya.

Mulotka, sławna śpiewaczka Harlemu — o głosie niepokojącym i ostrym jak spojrzenia dzikich zwierząt — Mildred Bailey —

śpiewa refren doskonałego foxtrotu p. t. „Heat Wave” (Irving-Berlin). Akompanjuje Glen Gray i zespół Casa Loma. Heat Wave jest jedną z ciekawszych kompozycji nagranych ostatnio. Brunswick A 9562.

Bing Crosby — śpiewak radja amerykańskiego, aktor filmowy i ex-celonek wielkiej orkiestry P. Whitemana śpiewa obecnie dwie bardzo mile i melodyjne piosenki. Oto tytuły: „May I” i „Love Thy Neighbour” (Gordon Revel). Brunswick A. 9557.

„Tigger Rag” (La Rocca) to utwór — tak chętnie grany przez wszystkie murzyńskie orkiestry. Obecnie znajdujemy go na płycie Brunswick A 500341 w dobrym i ciekawym wykonaniu orkiestry F. Johnson'a. (Jot.)

NAJNOWSZE NAGRANIA

na płytach krajowych i zagranicznych w największym wyborze poleca

MUZA-HARMONJA KRAKÓW

Pl. Marjański 1. Grodzka 15. Katalogi wysyłamy bezpłatnie.

Ja! panie profesorze...



Zdrowe, racjonalnie odżywiane dzieci

są zdolne, pogodne, łatwe do wychowania. Ovomaltyna jako napój na śniadanie ułatwia intensywną pracę przy egzaminach. Ovomaltyna szybko przechodzi w krew, działa dodatnio na wzrost i rozwój fizyczny i umysłowy dziecka, zapewnia zdrowie i dobre samopoczucie.



OVOMALTINE